Wspomnienia.

Zeszyt I.

Dr Klemens Bąkowski

Która
przedtem światła nie widziała

KRONIKA

lat przebytych w gimnazyum Św. Anny
w Krakowie

z własnych wspomnień,
opowiadań ludzi wiarygodnych i na podstawie
historycznych źródeł
spisał
i illustracyami opatrzył
Klemens Bąkowski.

Tom I.

Et nos aliquod nomenque
decusque gessimus. Virgilius.

1880.
W Krakowie.

Wstęp.

…ż się mojej malują pamięci
…onej lepszej przeszłości postacie,
W piękniejszej jeszcze, niźli dawniej szacie!
Jakież ku sobie wasz obraz ~~nas~~ nas nęci!
Chociażmy dziś już poważniej zajęci
Wy jednak dla nas równy urok macie;
Równie się mile nam przypominacie;
Ujrzeć was jeszcze budzą się w nas chęci.
Powstań przeszłości do życia wzbudzona,
Ukaż się jeszcze o przeszłości złota!
Niech wszelkie czyny przeszłości podane
Będą; niech wiernie ~~tu~~ odzwierciadlona
Nagrodę słuszną otrzymuje cnota,
A winy niechaj giną zapomniane!

I. Część ~~ogólna~~.

§1. O podziale historyi

Jakkolwiek forma rządu nader ważny wpływ wywierała na ustrój naszej klasy, nie podobna twierdzić żeby stanowczo z jej zmianą stanowczy zwrot w historyi naszej nastąpił. W prawdzie zmiana formy rządu schodzi się z początkiem nowego okresu w klasie IV. i VI, nie ona jednak decyduje o kierunku pracy społecznej, nie zmienia jej podstaw; dzielimy więc historyą na następujące okresy, których charakterystykę w części ogólnej podamy.

Okres I, od I klasy do III, patriarchalny.

~~Okres II obejmuje klasę IV~~

Okres II od klasy IV do VI, państwo prawne,

Okres III klasy VI, VII i VIII, państwo despotyczne

rządowe

Najważniejszym dniem mojego żywota był dzień 23 listopada 1860. roku, w tym dniu bowiem ujrzałem po raz pierwszy światło dzienne, — a raczej noc-ne, gdyż w nocy się urodziłem — w domu l. 67 na grodzkiej ulicy zwanym „Podelwie".¹)

Przypominam sobie z dzieciństwa, iż naprzeciw Podelwia miał „salon golenia" nieboszczyk p. Kieres. Wystawał on nieraz przed domem swoim w szlafroku nabi-tym pianą, mydłem, tabaką, włosami i brudem. Klientom, których golił, strzygł lub którym bańki i pijawki stawiał, albo zęby wyrywał, opowiadał podczas operacyi, jak niegdyś wśród gradu kul i kartaczy amputował ręce i no-

/.

¹) Dom hist. bo tu mieszkał „Parler" budow. Kościoła Mar. — potem Hans Dürer — wreszcie Jacek Przybylski

gi walecznych, jak raz sam Napoleon zbliżył się do niego i rzekł: Kiereszie, nienarażaj że się! Złośliwy subjekt zegarmistrzowski z sąsiedztwa twierdził wprawdzie, że Napoleon po polsku nie umiał, ale p. Kieresz wyjaśniał, że i po francusku Napoleon powiedział po- wyższe zdanie do wierna, a on tylko przetłó- maczył je na polskie. Tenże subjekt puścił też w kurs niewczesnych o p. Kiereszie, który za- czynał się od słów: „Kiedy Napoleon bił się pod Marengo, to dzielny Kieresz pomia- gał szewcowi!" 1)

Gdy więc raz w dzieciństwie raz całą ~~noc pławiam rodzicin~~ budziłem, wezwano pomocy światłego p. Kieresza, który oglądnąw- szy mię, zażył tabaki i rzekł ~~tary~~: „wybijcie skórę smarkaczowi, a będzie cicho" ~~zostało nie napastowany~~ a potem przyłożywszy pięść do mego nosa krzyknął: „Cicho bębnie!" i od- dalił się – podobno wywoławszy pożądany skutek

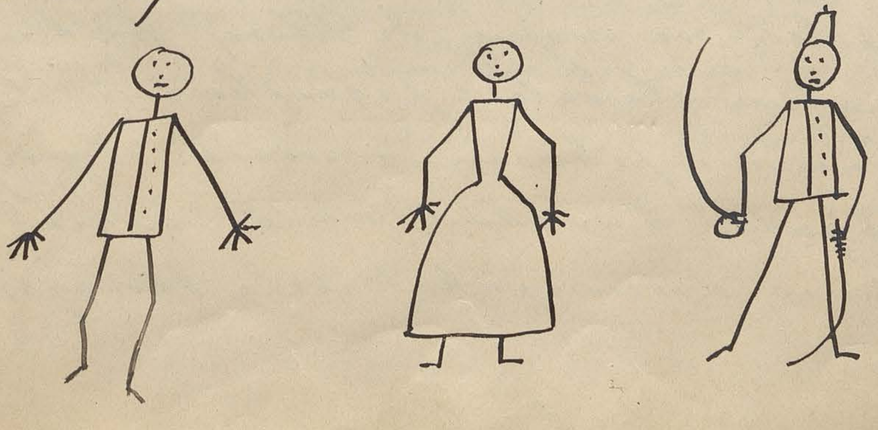
1) Syn Kieresza został radcą minister. w Wiedniu i nie wiem z jakiego tytułu dodał sobie drugie nazwisko Ankwicz

na mej osobie.

Pod opieką służącej Feliksowej rozpoczą-
łem stawiać pierwsze kroki na dziedzińcu, po-
tem na ulicach i plantach krakowskich.
Zabawiała mię śpiewem, z którego przypo-
minam sobie jedną zwrotkę

„Pódźcie zobacyć na wieżą
„Cy tam kogo nie wieszą …

Około czwartego roku życia zacząłem od-
dawać się sztukom pięknym, rzeźbiąc
z kartofli ludzi i zwierzęta, rysując wę-
glem po ścianach, wreszcie babrząc wsze-
lakie papiery, które mi się pod rękę nawinęły,
akwarelowemi farbami za 6 centów u
Bensdorfa w rynku kupionemi. Jako pró-
bę tych malatur podaję wierną ich kopię
poniżej:



Również rysowanie kredą na podłodze u-
prawiałem z wielkiem zamiłowaniem.

Podwórze posiadało ogromny dziedzi-
niec, otoczony wielomachami, mieszczą-
cymi liczne rodziny, posiadające jeszcze licz-
niejsze potomstwo. Poznajomiwszy się z niem
bawiłem się paradnie z rówieśnikami i
rówieśnicami we fujarę, i zwierzy ~~kryjówkę~~. Kryjąc
się raz do piwnicy, spadłem ze schodów i wle-
ciałem głową do balii napełnionej gliną
przygotowaną do fabrykacji pieców, przez co
zniszczyłem świeżo mi zafundowaną czap-
kę i wywołałem zakaz gry w kryjówkę. Po
paru dniach surowszego nadzoru domowe-
go pojawiłem się znowu na dziedzińcu i
rozpocząłem zabawę w zbójów i żan-
darmów, potem we wojnę, do której kilku-
nastu malców stawało z pałaszkami, cho-
rągiewkami i pikami, a nieraz i guzy
sobie nabijało. W walkach brała udział
starsza nieco dziewczynka, córka któregoś

1/.

z lokatorów, panna Justyna, i nieraz nas wyczubiła, tak, że przy pacierzu wieczorem dodawałem do życzeń „żeby się Justyna wyprowadziła"!

Słysząc od starszego brata o majówce szkolnej, zapragnąłem chodzić do szkoły, czem uciszony ojciec zaprowadził mię czemprędzej do Łoryszka, ale nie przyjęto mię z powodu, że dopiero 5 lat miałem.

Zmartwieniu z tego powodu zapobiegł p. C. instruktor brata, a nauczyciel na Podwalu: pod jego egidą jako nadzwyczajny uczeń posiedziem na Podwale i przez 3 dni uczęszczałem pilnie, przyprowadzany i odprowadzany przez Jadzię i Wiktusię sąsiadki starsze z w. Dermachne. Po trzech dniach jednak nie chciałem już więcej zaglądać do akademii podwalskiej, a że pedagog uznał, że dość będzie, gdy na rok następny studya rozpocznę – przeto zostawiono mię w spokoju.

/.

Na święta suchych Dni, Sgo Stanisława gdy brat szedł ze szkołami na procesyę, to towarzyszyłem mu, wołając od czasu do czasu ora pro nobis i wygrażając Barbara-kom. Szkoły: w domu Larysza i przy Stej Barbarze emulowały ze sobą i uczniowie ich przezywali się wzajemnie „Laryszakami i Barbarakami", czasem pobili się na ulicy ze sobą w obronie pierwszeństwa swych szkół.

W następnym roku stałem się wyprajnym uczniem szkoły wzorowej (u Larysza).

Panował wówczas barbarzyński oby-czaj pędzenia nas codziennie rano do Ko-ścioła Franciszkanów, gdzie bez względu na mróz, wilgoć, biedne sukienki chłopiąt, kazano nam klęczeć od podniesienia aż do końca mszy. Była to tortura, z której z ra-dością wracaliśmy do szkoły. Te nabożeństwa odprawiały się w Kaplicy B. Miłosierdzia na lewo od wejścia. O godz. 8 rano w miesiącach zimowych i w dni pochmurne, było tam pół-ciemno, światło wpadało (skąpo) od północnej strony prz-

brudne szyby, a jeszcze wskutek tego
światła zostawały różne chorą[illegible]. W
głębi był ołtarz z parą świecami nie prze-
czyniającymi się do oświetlenia kaplicy,
owszem, przez kontrast od jaśniejszego oł-
tarza tem ciemniej wydawało się w głębi
kaplicy. Na lewo od ołtarza na niby sar-
kofagu wielka figura upadającego pod
Krzyżem Chrystusa ze sztuczną na czerwono
wylakierowaną broczącą postacią, na-
przeciw na ganku znowu stał Chrystus
w cierniowej koronie w jakiejś brudnej
szacie, a przy nim zdaje się Piłat, w
postaci ukoronowanego Kacapa. Ciem-
no – zimno – chłopy wpychali ręce
w zarękawki lub kieszenie, błądząc
trwożliwie oczyma – a tu ciemno – nogi
cierpną – drętwieją – gniotą kolana
a nabożeństwo trwa i trwa bez koń-
ca... Nareszcie! skończyło się. Wraca-
my pacami, i dopiero wyszedłszy za
kościół na pełne światło dzienne, że...

szyny się, że do jutra nie będziemy w lodowni, tylko budzenie organów żądz. wieto jeszcze jakiś czas w mózgowiach. O te nabożeństwa! Zamiast jakiegoś pocieszającego podniesienia ducha bezwzględna nuda, odrętwienie rzadkie, słuchu i nóg. Wszelkie takie nabożeństwa dla dzieci powinny być krótkie, w jakiejś jasnej atmosferze bez widoku na bałwochwały, przymusu, — wszyscy myśleli tylko o tem, aby wyrwać się jaknajprędzej z ciemnoty, brudu i zimna.

Wróciwszy z kaplicy biegaliśmy chwilę po klasie dla rozgrzania się potem zasiadaliśmy w ławkach i rozpoczynały się lekcye. Po 2 godzinach była dłuższa pauza, a potem szliśmy parami do opuszczonego wówczas pałacu biskupiego spacerując po wielkim dziedzińcu, a po 10 minutach wracaliśmy na studya dalsze do Larysza.

gospodarzem klasy I u Lazyera był staruszek
Tomasz. Mischke,
poczciwa dusza w surducie długim po kostki,
na egzamin we fraku niebieskim z pozłaca-
nymi guzikami. Na to wszystkich dwóch ad
hoc odkomenderowanych uczniów przyniosło
mu ten frak, niosąc go na lasce włożonej
w rękawy. Staruszek pamiętał Napoleona I
i wciąż nam opowiadał o powrocie z pod Mo-
skwy. Jako ostateczny środek powagi miał
starą rozstrzępioną trzcinę, którą czasem
po plecach trzepał swawolników, wywołując
więcej strachu niż bólu. Za to Katecheta
Ks. Opręzdek walił czworograniastą linią po
łapach potężnie.¹) Tak wzrastałem w latach i
studyach dość szczęśliwie, bo byłem zawsze za-
pisywany w złotą księgę, a choć na pierwszy se-
mester I klasy byłem 67 my w lokacyi, to już
na drugi semester byłem drugim, i jako pre-
miant utrzymałem się odtąd przez całą naukę
aż do uniwersytetu. Wspomnień nie wiele z tych
czasów zostało. Nie było wówczas czułostkowości
dziecięcej w wychowaniu. Dziś jak za zimno
lub za gorąco, to zaraz rozpuszczają szkoły.

¹) Raz zamachnął się tak potężnie że chłopak przera-
żony cofnął rękę, a Opręzdek palnął się w swe tłuste
udo, za co chłopak dostał drugą „łapę".

Wtedy zaś przy 20stopniowym mrozie szło się
przez najwyższą kupę śniegu do szkoły, potem
jeszcze klęczało się pół godziny na zimnej posadz-
ce kościoła, i mało ~~się~~ nie ~~zmarzło~~ chorowało.

Gdy rozpocząłem IV klasę normalną po-
szedł Mischke na emeryturę, a gospodarzem
został Latinik. Miał on inne wymogi pe-
dagogiczne, które nam się wydawały u-
ciążliwymi, męczył nas za wiele nauką i by-
liśmy tak niekontenci, że ojciec mój na te
zażalenia moje przeniósł mię do szkoły
Stej Barbary – z deszczu pod rynnę, bo nowy
gospodarz Eberhard nie uznawał dzwonka
szkolnego i trzymał nas w szkole nieraz
o godzinę dłużej nad czas urzędowy. Śpiewu
uczył nas Niemczyk. Było nas 116 chłopa-
ków w IV klasie, jak beknęliśmy na raz: „Ko-
ściółek otwarty, wstąpcie lube dziatki", to
zatykajcie uszy! A p. Niemczyk kroczył
po ławkach i walił fałszujących smycz-
kiem przez kark lub plecy. Rysunków uczył
M. Cercha. Celował w nich wtedy Franciszek Kos-

dowski – który też później wyłącznie poświęcił się
malarstwu.

Gdy nadszedł koniec roku, polecił Eberhard, aby uczniowie „lepsi", którzy czują, że będą mieli bliższą lokacyę, stanęli w kościele (św Barbary) bliżej ołtarza, na nabożeństwie mającem się odprawić na zakończenie roku szkolnego, i aby do mszy służyli. Polecenie to wziąłem sobie do serca i ubrany w komeżkę zabrałem mszał z zakrystyi i idę za księdzem do ołtarza. Obok stał stół przykryty dywanem, na nim leżały nagrody: Robinsony, Guliwery, Podróże i.t.d. aż mi ślinka szła na tego Robinsona w czerwonej oprawie. Aliści ktoś mnie szturcha. Co takiego. „Mówże!" szepce mi assystent z tyłu. „Co mówić?" „Ministrantury!" – „Kiedy nie umię!" – „to pocóżeś brał mszał?" Idź na moje miejsce! Poszedłem więc na miejsce assystenta i nie mogłem się końca doczekać. Nareszcie skończyła się. Ks. Nowiński palnął od ołtarza mówkę, że aż wszystkie mamy i taty obecne w kościele, popłakały się jak bobry. Potem czytano klasyfikacyę, a premianci szli ku ołta-

/.

tarzowi odbierać nagrody (dlatego karano lep-
szym stać bliżej ołtarza). Gdy mię odczytano,
wręczono mi w nagrodę „O ziemi i świecie".
Miałem już tę samą książkę jako nagro-
dę z I klasy, nadto upatrzyłem sobie „Robin-
zona" w czerwonej oprawie – więc zawiedziony
w najdroższej nadziei rzymnąłem „Niebem
i Ziemią" o ziemię, rozbierałem się i uciekłem
do zakrystyi ściągać komeżkę. Ledwo uła-
godził mię Eberhard i nakłonił mię, żem
raczył przyjąć „Niebo i ziemię" i poszedł do do-
mu z ciężkiem zmartwieniem.

Ze wspomnień szkół normalnych naj-
piękniej zapisały się owczesne <u>majówki</u>.
W oznaczony dzień, po ustaleniu się po-
gody, schodzili się malcy o 10 rano w dzie-
dzińcu szkolnym z chorągiewkami, lub
kolorowemi papierowemi lampkami na
drążkach, z pakuneczkiem zawierającym
wiktuały i jakąś szóstką w kieszeni, jako
ogromnym kapitałem. Muzyka wojskowa
(wówczas wolno jej było towarzyszyć takim

/.

nie politycznym]
cywilnym (pochodem) stawała na czele, i czwórkami przy jej dźwięku maszerowaliśmy przez Rynek na Błonie i wokół. Gdy muzyka ustawała grać, śpiewaliśmy krakowiaki. Na woli następowała zabawa, gonitwy, huśtawki, zbóje i żandarmy, starsi często tańczyli z mamami i siostrami malców. Pod zmierzchem, rodzice krewni, o ile nie przyjechali popołudniu do malców, gromadzili się na wałach przy Błoniach oczekując swej dziatwy. Zdala zaczynały błyszczeć latarki kolorowe malców, wąż błyszczący zbliżał się coraz bardziej, zaczęły dolatywać dźwięki muzyki – nareszcie umojony, zakurzony, umęczony orszak malców zbliżył się ku rodzicom którzy z radością witali swych malców, patrząc, czy który nie nabił sobie

./.

guza, nie potargał ubranka albo
innego szwanku nie poniósł.

Rodzice malców często przyjeżdżali
do majówkujących, częstowali i raczy-
li nawzajem, a że niejeden nawzajem
zapraszany i raczony z czasem sobie
podchmielił — więc robiono stąd wielkie
krzyki, gorszono się i t. d. a stąd i ma-
jówki coraz skromniejsze się robiły,
bogatsze dzieci nie uczęszczały, od-
mówiono potem muzyki wojskowych,
~~i parada~~ a tak cała uciecha i para-
da malców zeszła potem do wycieczki
z chorągiewkami. Sławnym organi-
zatorem majówek był ks. Nowiński
najprzód katecheta u Stej Barbary, po-
tem u Stej Anny. Rodzice przepadali
też za nim i zawsze go tak uraczyli
że ledwo mógł, prowadzony pod pachy

f.

~~[illegible]~~ z obu stron, powró-
cić na nogach do domu z majówki. —

Raz, pamiętam, wiódł go z majów-
ki pod pachę z jednej strony blacharz
Markus, z drugiej rzeźnik Arnošto-
wicz, a Markus podchmielony ciągle
komenderował muzyce łamaną
polszczyzną: „Muzyk! graj! albo
pieniądze oddaj!" — a muzykanci
dęli co mogli, bo i ich raczono hoj-
nie.

Po 2 miesiącach wakacyj zapisa-
no mię do gimnazyum Stej Anny. Z po-
czątku zaraz spotkało mię zmart-
wienie, bo przydzielono mię do II od-
działu I klasy, co sobie uważałem
za ujmę, gdyż nie wiedziałem, że w razie
przepełnienia, dzielą klasy na od-
działy. Po „uroczystem wezwaniu

./.

pomocy Ducha Śgo" w kościele
wchodzimy do klasy. Jakiś re-
petent "studyujący drugi rok I
klasę, znający gimnazyalny sa-
voir-vivre, wstaje z ostatniej ła-
wy i recytuje, ku naszemu o-
słupieniu „Pater noster." Gdy zmó-
wił pacierz, wychodzi z ławy, zbliża
się bez żadnej trwogi do brodatego
profesora, prosi go, aby się nieco
usunął, bo nie może odsunąć szuf-
lady, dobywa gąbkę, kredę, dzien-
nik, potem z zamachem wyciera
gąbką tablicę i wraca pośród ogól-
nej ciszy do ławy, zyskawszy odrazu
nasz szacunek. Patrzyliśmy na
niego z uszanowaniem, jakby na
ósmaka, szczyt naszych marzeń.

x

x x

Wstąpienie moje do gimnazjum jest jakby kamieniem milowym w moim życiu, bo równocześnie przeniósł ojciec sklep i warsztat (wszelkie techniczne nazwy rzemieślnicze były niemieckie przeważnie, lub z niem. przekręcane, nikt więc nie nazwałby warsztatu rzemieślniczego pracownią) na ulicę Szpitalną do domu naprzeciw dzisiejszej miejskiej Kasy Oszczędności, na której miejscu mieścił się dom na wysokim podmurowaniu z przedsionkiem w środku. Rozkład sklepu, pokoju warsztatowego z nyżą, z sionką za sklepem a potem mieszkaniem, było zupełnie podobny jak na Podchwin.

Znajomi z ulicy grodzkiej bywali już rzadziej z wizytami, jak Parvi, Procner, ~~ottr~~ najczęściej uczęszczał Mierzwiński przynosząc bilet na balkon do teatru dla mnie lub dla brata, bo jako zawiadujący zegarem teatralnym nad kortyną, dostawał za to dwa bilety gratisowe na balkon. Z nowych znajomości przybyli tylko Krupnice Jawiga z rodziną właściciel kawiarni i sklepu korzennego, oraz Zaremba, właściciel kawiarni w tym samym domu co. W sąsiedztwie były tylko żydowskie antykwarnie, jeden z nich Diamand urządził sklepik tuż obok sieni naszej siedziby, od którego pożyczałem książki do czytania po 2 centy od tomu.

Lata dzieciństwa leciały lato.

mi brzemiennymi w zmiany
polityczne fundamentalne, –
dziwna rzecz, że nie zostawiły
mi szczególnych jakichś wspom-
nień. Na pogadankach w
Domu nie debatowano, ale so-
bie przypominam, uwagi nad po-
lityką. Klęska Austrii w wojnie
1866 r. i utrata Wenecji niskiego
nie wzruszyła, swobody poli-
tyczne przyjmowano z niedowie-
rzaniem, bo było to pokolenie
starszych) które przeżyło zabór
Rzplitej Krakowskiej, bombardo-
wanie Miasta w 1848 r. – próby
germanizacyjne z czasów Bacha
i Schmerlinga, cofnięcie pa-
tentu Gołuchowskiego – bano się, że
i swobody prędzej zdobyte

zrazu zostaną cofnięte gdy
ewentualnie zmieni się poli-
tyka wiedeńska. Najniebezpiecz-
niejszą była policya, gdzie gnież-
dził się duch serwilizmu rzą-
dowego, która zawsze była podejrz-
liwą i dokuczliwą. (Długiego trze-
ba było czasu, nim policyę obsadzo-
no Polakami i ograniczono ją do
spraw kryminalnych, sądowo-śled-
czych i usunięto robienie poli-
tyki po za plecami sfer urzę-
dowych, z których usunięto
Niemców, a ci co z nich pozostali
polonizowali się łatwo, a dzieci
ich były zagorzałymi patryotycz-
nymi Polakami. Pamiętam, że
klęska Francyi w wojnie z Prus-
sakami 1870. boleśnie wszyst-
kich dotknęła

latach mojego dzieciństwa był
murze Krakówa napoleońska nasta=
wiony. Starsi pamiętali jeszcze nie=
śmiałych wspaniałych Napoleonowskich,
Chłopickiego, Skrzyneckiego, zna=
osobiście wielu weteranów z pow=
stania 1831 r. wychowanych w tra=
dycjach Nap. – w każdym domu
był sztych Napoleona, Ks. Józefa
figurki porcelanowe i bronzowe
pogadankach o dawnych czasach
wspominano ciągle o nich, a młode
pokolenie wchłaniało w siebie idee
walki o wolność i cześć dla jej
bojowników. Wojsko austryackie
nazywano cichą nienawiścią zwła=
szcza za mordy w Gdowie i Podgó=
rzu w 1846 r. Garnizon był bar=
dzo silny koło 6000 głów, który u=
trzymywał 4 orkiestry, przeważnie
Czechów złożone, jedna orkiestra

zwykle całowała i ta grała w tea-
trze i po balach, później w kon-
certach. Co wieczór chodził po
ulicach capstrzyk, na czele tam-
bormajor wysoki, z czarną brodą
z pałą mosiężną, za nim we dwa
rzędy po czterech doboszów, dalej
trębacze, za nimi 8 żołnierzy z
latarkami na drążkach. Przechodnie
przystawali, w bramach stawali z
fajkami przyglądając się ci i owi z
mieszkańców i dzieci, przed capstrzy-
kiem biegli ulicznicy „tj dzieci
które są wyrwały z domu i termi-
natorzy z warsztatów, śpiewając do
taktu skomponowane od kor[illegible] od-
powiednio skandowane dwuwiersze:
„Żołnierz, żołnierz pójdź do domu,
byś nie ukradł czapki komu" przy
doboszach – a „Jaga, Jaga etc. przy
trębaczach – po capstrzyku żaden

żołnierz nie mógł już pokazać
się na ulicy, bo zabrałby go patrol.
Miasto pustoszało, zalegała cisza,
którą rzadko kiedy przerywał
turkot fiakra lub dzwonki sań.
Wkoło półcień, jaśniej pod latar-
niami gazowemi, przy małym
ruchu oświetlenie to było zupeł-
nie dostateczne. W oknach domów
widziało się może więcej światła
niż dzisiaj, bo mieszkańcy przesie-
dzali wieczory w domu przy świe-
tle lampy olejnej, potem „kam-
finowej". Tu i owdzie w piwiar-
niach i winiarniach prowadzili
pogawędkę rzemieślnicy i kup-
cy. Kawiarnie były nieliczne, re-
stauracje lepsze były po hotelach,
ale do nich chodzili tylko przejezdni
i nieliczni zamożniejsi, innym
wystarczały skromne garkuchnie.
O godzinie 10 – wszystko spało.

W sferze rzemieślniczo-mieszczańskiej, z której pochodziłem i w której się wychowywałem znajomości i stosunki wzajemne opierały się na spólności lub podobieństwie zajęcia zarobkowego, współrzędności pewnej w dochodach, znajomościach sąsiedzkich. Były to niejako grupy zaściankowe obracające się zwykle w obrębie kółka kilkunastu najbliższych domów. „Podchwie" było kompleksem kółka domów z kupą kolatorów i jeszcze większą ich dzieciarnią. Od frontu był sklep kolonialny z winiarnią Jana Kantego Karmańskiego właściciela Podchwia, na lewo od bramy — na prawo był sklep blacharski mego ojca z pokojem sypialnym, który zarazem był jadalnym i bawialnym, za sklepem nyża oddzielona od ścianki, stanowiącej dostęp z sieni, w tyle była wnęka izba warsztatowa i wąziutki pokój ciemny

pokoik ze ~~składem~~ który służył za skład. Z sionki były drzwi w kamiennej opra-wie na schody do głębokiej piwnicy.

Ten frontowy budynek przecinała (jak dziś) głęboka sień z której na lewo wchodziło się do klatki schodowej a z tej do piwnic. Za sklepem Kaczmar-skiego był bardzo schludny jasny pokój, gdzie schodzili się honora-tiores na wino, a za tym wąski po-kój, gdzie zięć Kaczmarskiego Gwiaz-dowski prowadził mu buchalterię i korespondencję. Na prawo znowu z sie-ni wchodziło się do sionki za sklepem mego ojca, o której wspominałem, a dalej ku dziedzińcowi była ciemna mała wąska izbina oświetlona tylko okienkiem z drzwi, gdzie mieszkał stróż.

W sklepie u długiej ściany wi-siały na hakach osęki a na nich tuzin wiaderek parcianych na czer-wono pomalowanych – był to

rekwizyt nakazany urzędowo po pożarze z r. 1850, do gaszenia ewentualnego pożaru. Wiadra też służyły drewniane szprycę do sikania, złożono na strychu. Zrobiłem raz próbę z taką szprycą w nadziei użycia jej na pokropienie, jak przechodził ulicą Żydów, i na śmigusa, ale szprycę było trochę schnięte, tłok, choć go wzmocniłem pakułami i napoiłem je oliwą, nie trzymał, a cała woda poszła do mego rękawa.

Na I p. frontu mieszkał adiunkt mineralog Dr Abt, który trzymał kucharza. Był to tłusty jowialny towarzysz, który schodził do warsztatu ojca na pogwarkę a że tam matka miała także piec kuchenny, więc czasem służył fachową poradą. W okresie B. Na-

rodzeniu pydłowców na Kolendowanie
przyczem kładł swój gruby okrą-
gły palec wyciągnięty na stół i
po nim, jakby smyczkiem jeździł
linię złamaną wygrywając jakby
basowy akompaniament, oczywiście
nie długo, bo go palec rozbolał
po paru strofkach kolendy. Potem
mieszkał po Stocie jakiś generał
(zdaje mi się, że się Knöbel nazy-
wał.) z dwoma córkami dorasta-
jącemi, dla których przyprowadzano
czasem wierzchowce na których
pewnie wyjeżdżały na spacer.
Na II p. mieszkał Kaczmarski,
a potem i drugi Dr Kopiński. Ten
dawał raz przyjęcie dla gości, na
murku przy schodach postawiono
olbrzymi samowar mosiężny, a
gdy dla urozmaicenia zabawy
sprowadzono szopkę z rynku,
w czasie jej przedstawiania stał się

istny cud — bo napalony samo-
war wraz z wodą koprzącą, zniknął
i nie zdołano odszukać odważ-
nych złodziei.

Za frontowym budynkiem
był wielki dziedziniec, przy
którym od południa było długie
skrzydło z różnymi lokatorami
na parterze był majster szewski
Kozłowski. Z tradycji słyszałem
potem, że u niego i w pierwszej
mego ojca odbyła się w r 1863 rewi-
zja policji, poszukującej broni
dla powstańców, ale nic nie zna-
leziano. Tylko w warsztacie ojca
plątała się długo potem maszynka
do odlewania kul ołowianych, z
której ja sam potem odlałem parę
kul. Podejrzenie policji powstało
zapewne stąd, że syn Kaczmarskiego

ze ojciec był przez policję ukarany grzywną 10 rubli za „de-
monstrację" tj. zamknięcie sklepu podczas nabożeństwa za Kościuszkę
oraz

pwrodł do powstania i zginął w
wyprawie na Miechów. Drugi
syn, młodszy, został potem budow-
niczym, znanym w Krakowie.
Druga oficyna w samej głębi,
od wschodu, mieściła na dole war-
sztat i mieszkanie majstra
ślusarskiego Szymona Kaczera,
na I piętrze pensyonat Szklar-
skiej. Jej mąż emigrant brał
udział w rewolucji węgierskiej
w r. 1848. Raz stał na dziedzińcu
żołnierz, który przyniósł jakieś
raporty dla jenerała na I p. miesz-
kającego, w obcisłych niebieskich
spodniach z żółtemi huzarskie-
mi wyszywania na spodniach
od przodu. Zwano ten pułk węg-
gierski „Kozienóżki." Szklarski
przechodząc zagadał go po węgier-
sku, a żołnierz zasalutował

a potem rozpłakał się z radości
bo od paru lat z nikim nie
mówił po węgiersku – na pożeg-
nanie pocałował Dzikliskiego
w rękę! Na II p. tej oficyny miesz-
kało kilku Collatorów, między ty-
mi Natter, jakiś urzędnik, zdaje
się kolejowy, który trudnił się
– okultystyką i miał dużo pa-
cyentów. Jego syn został na prawdę
doktorem medycyny. Obok był
ogródek starannie utrzymywany
i zamykany przez Kaczmarskiego.
Przed tym ogródkiem po północ-
nej stronie dziedzińca zaczął Kaiza
budowę trzeciej oficyny. Przy ~~tej~~
robocie fundamentów i regulacyi
dziedzińca znaleziono i wywie-
ziono kilka fur kości ludz-
kich, bo było to miejsce cmen-

tarz św. Trójcy. Do naszej ofsjony wprowadził się na I p. rabin czy teolog żydowski z Warszawy Kranz, mówiący bardzo pięknym pol-skim językiem. Z synem jego wszedłem w przyjaźń ja, i mój brat, i Kranz lubił nas, a za-poznanie nastąpiło w taki spo-sób: Na procesyą parafii W.W. Świętych (z Rosnoda do Piotra) budował Kaczmarski ołtarz w bramie, a wtedy lokatorowie nie mogli się dostać do ofsjury naszej, jak przechodząc przez sklep mojego ojca i ściankę za nim, wychodzący do sieni za ołtarzem. Przechodził tamtędy i Kranz i przy tem rozgadał się coś z moim ojcem, ze mną i moim bratem a następnie przyprowadził pokazać swego

syna, w moim wieku będącego.
Odtąd „zadawaliśmy się" z Kranzami, bawiliśmy się razem.
Przypominam sobie szczególną zabawę nauki rachunku.
Stary Kranz zaprowadził nas do oddalonego pokoju w jego mieszkaniu, z piękną nową błyszczącą posadzką, ale prawie pustego, bo była tylko szafa, stół i kilka krzeseł, następnie wręczył synowi mosiężną rurkę zamkniętą z jednego końca jakby pudełko na zapałki i dodał: Zygmuś! ucz Klimusia ładnie rachować, a jak się znudzicie, to pukaj do drzwi – poczem odszedł a drzwi zamknął na klucz.
Zygmuś otworzył pudełeczko i ujrzeliśmy, że w nim jest 50 <u>dn</u>.

Kasów! Potem dał mi kilka sztuk do rąk, a ja niby kupowałem od niego krzesło, stół, albo szafę i płaciłem dukata, mi (drobniejszej monety nie używaliśmy!) Gdy mi brakło, pożyczał mi pan z Kasów, albo odkupywał krzesło i t.p., a wśród tego brzękaliśmy złotem po stole, po posadzce, a przytem nauczył mnie śpiewać:

„Rachować, rachować,
„Co Bóg dał, to schować!
„Bo kto rachować się leni,
„Ma pustki w kieszeni."

Dotąd pamiętam tę melodyę. Gdy nam się znudziło Zygmuś pukał do drzwi, wtedy stary Kranz przeliczył dukaty, schował i dopiero nas wypuścił na wolną nogę.

Po jakimś czasie, przenieśli się Kraszowie do Wiednia.

Od tej trzeciej oficyny biegł mur graniczny, przy frontowym budynku kilka metrów wysoki, a niższy nieco od strony oficyny. Za tym murem był dziedzińczyk sąsiedniej kamienicy p. Szachnera, [illegible]. P. Szachnerowa dostała napadu sportowego i uczyła się jeździć konno, czasem wprowadzano do ich kamieniczki sienią konia, na którym pani Szachnerowa kręciła się w kółko na malutkim dziedzińczyku, co my mali z Podchorza wyszukawszy gdzieś drabinkę i wyłazili na mur graniczny, aby się przyglądać harcom pani S.

Tam, gdzie mur ten był

przy frontowem szczycie wyższy,
był daszek oparty na gru-
bych belach drewnianych z
równie grubem wiązaniem
pod daszkiem, pod którym wisiała
olbrzymia waga towarowa do
ważenia ~~belek~~ beczek, paki.
Na grubym haku wisiało
żelazne przęsło wagi, na ko-
nego końcach wisiały na gru-
bych łańcuchach „szale" t.j.
tafle drewniane kwadratowe
blisko metra kw. każda, oku-
te żelazem, a łańcuchy, trzy-
mające te szale, umocowane
były w ich narożnikach. Obok
na ziemi leżały ciężarki (po
1/2 i 1/4 centnara!) Rzadko to
co ważono, a ~~waga~~ cała zardzewiała służyła
głównie za – huśtawkę dla dzieci.
skrzypiąc niegodziwie.

Pod murem przy trzeciej oficynie był ommurowany dół na śmiecie, a obok gołębnik, w którym wiecz. nie słychać było gruchania.

W środku dziedzińca, bliżej owej wagi, stała studnia o 2 pompach, której wodę bardzo chwalono.

Przez oficynę łączył (jak dotąd) kryty ganek z budynkiem frontowym, wsparty na 2 kolumnach kamiennych. Zdaje się, że pierwotnie miało być 4. kolumny, bo dwie leżały bezużytecznie na dziedzińcu, jedna pod murem frontowego budynku, druga naprzeciw pod oficyną. Właściwie, nie były one bezużyteczne, bo na nich o każdej porze siadały

niańki, mamki, dzieci, ze-
płotki i opowiadania. Ponieważ
Śródka, Chwaliszewo zawsze ręką
trzymała się z okoliczną ludnością
wieśniaczą, przeto wszystkie
ludowe przesądy o duchach,
strachach, rozbójnikach, zabobo-
nach dostawały się od nich do
mieszkańców miasta i tworzył się
nowy folklor.

Częstsze stosunki utrzymywało
się w pewnym niewielkim okręgu
mieszkania. W sąsiedztwie Podelwa
była księgarnia Wilda, która
wydawała powszechnie czytany
Kalendarz z rysunkami różnych
dowódców z powstania 1863 r. — i
wypożyczalnię książek, z której
korzystałem dopiero znacznie póź-
niej będąc w Gimnazjum.

Za Wildem był sklep budzący szczególny u mnie apetyt, bo zawierający obok żymarskich wyrobów zabawki drzewianne. Właścicielem był Procner, wesoły i towarzyski, około 40 letni mężczyzna, który czasem nas odwiedzał. Za nim na rogu był piekarz Rydel, a za tym w ulicy Poselskiej był znany stolarz Chmurski i hotel pod Czarnym Orłem, Marya na Dworskiego, którego w mojej metryce chrztu zapisano jako ojca chrzestnego z przydomkiem „magnificus." Dostałem od niego na chrzcinach parę łyżeczek srebrnych, z których dwie dotąd posiadam i okrągły srebrny puklerzyk z wygrawerowaną na wierzchu jakąś sceną biblijną, który mi zaginął.

Na parterze w domu przy Hotelu

Dworskiego, była piwiarnia i gar-
kuchnią, zwana szumnie „Restau-
racyą Stefana". Tu dorobił się ma-
jątku Wiktor Klein, który potem wybu-
dował przy ul. św. Gertrudy Hotel
Kleina, pierwszy dom za plantami
w tej okolicy, zwanej łąką św. Seba-
styana, ciągnącą się po budynek
Seminaryjny na Stradomiu i w głąb
po Starą Wiślę. Klein utopił cały
majątek wyczerpawszy go na budowę
fundamentu na tem grzęzawisku i
z rozpaczy powiesił się, ale go odrato-
wano i dopomożono do ukończe-
nia budowy. Knajpa Stefana była
ulubioną przez ojca mego.

Po przeciwnej stronie ulicy Grodzkiej
naprzeciw Podelwia, — był na rogu
ul. Poselskiej handel Kolonialny
Jana Korza. Schodziło się do sklepu
po schodkach, na lewo ciągnęła się lada,

nad którą wisiał, umocowany
na zelaznych prętach od sklepienia,
długi na jakieś 2 1/2 m. wąż po-
kręcony, wzerbrany w łuskę, na
zielonkawy kolor pomalowany,
trzymający w czerwonej paszczy
hak, na którym wisiała waga.

Zwracając się w stronę rynku,
był sklep zegarmistrza Parvisego,
częstego gościa u nas. (Syn został
adwokatem i współpracował w
N. Reformie) Dalej był dom mala-
rza pokojowego, ale o wyższem
wykształceniu i uzdolnieniu Lind-
quista. Syn jego był zdolnym ar-
chitektem i współpracował potem
w Komisji hist. sztuki Akad. Um.
Stary Lindquist — którego portret
wisi między „Królami Kurko-
wymi" w Sali Towarzystwa Strzelec-
kiego, odrestaurował Marjacki

Drewniany pułap na I. p. stropo-
we belki urozmaicił złoconymi
jaszczurkami, przez co zwykły ciem-
ny nastrój sklepowych pułapów
ożywił i wyjaśnił. W Sali Strzelec-
kiej jest na pamiątkę jego o kro-
lestwa „tarcza dura chwrana,”
z dobrze namalowanym przez
Lindqvista widokiem Krakowa.

W sąsiedztwie był sklep firmy
zegarmistrzowskiej Friedleina,
którym zawiadywał inteligentny,
zdolny i wesoły subjekt Piotr
Mierzwiński, częsty gość w
naszym domu. Na piętrze był
blacharz Mirowski, niewiele
dbający o warsztat mający do-
stały dochód z tej kamienicy.
Mirowski chodził w czarnej czamarce,
z siwym wąsem, mało udzielający
się, sztywny, jakby dumny nad swój
stan rzemieślniczy.

Obok następowała golarnia p. Kieresa, nieco dalej był blacharz Żurowski chełpiący się dużym sygnetem szlacheckim. Wyszedł z niego ten atawizm szlachecki, bo lubił czasem popijać i kupił sobie małe gospodarstwo na Grzegórzkach, gdzie bawił się w ziemiaństwo. Byliśmy tam u niego. Była prosta chałupa chłopska, trochę drzewek owocowych, dalej płot z wierzbiny, kawałek roli, słoneczniki i jakiś dół, po wybranej na cegłę glinie.

Potem następował dom Kuśkiewicza czy Arumantowicza, także [illegible] ników i naszywnik zgoła „pod Lipkami", a przed nim regulowano plac przed Magistratem („W. K. [illegible]") przyczem znowu wywieziono parę fur kości ludzkich z odkrywanego cmentarza

Idąc dalej ku Rynkowi przy-
pominam sobie sklep kolonial-
ny Goebla, zwanego „biednym Goe-
blem" dla odróżnienia od boga-
tych G. notaryusza i dentysty,
potem znowu był jakiś kuśnierz
czy Armandowicz a u wejścia
do Rynku dom przepięknie odnowio-
ny bankiera Wolfa.

Na placu Dominikańskim
przypominam sobie jeszcze rui-
ny spalonej dzwonnicy a przed
nią studnię. Na rogu ku rynkowi
była apteka Sztokmara, a na
drzwiach tejże wywieszano w zimie tablicz-
kę podającą ilość stopni mrozu.

Z domami i sklepami na-
leżącymi w stronę rynku nie
miałem żadnych stosunków, aż do-
piero w wylocie ku rynkowi był

sklep Brunona Hakena, którego wymawiano jako jedno słowo Brunohan, z zapasami wszelkiego rodzaju zabawek dziecinnych. Tu się kupowało za 20 „fistułę" tj. rurkę około metr długą drewnianą z ustnikiem do wydmuchania bolca. Nabrałem wielkiej wprawy i celnie trafiałem bolcem w centrum, ale ta zabawa rychło stała się zbyt kosztowna, bo bolec rychło gdzieś ginął, a nowy kosztował coś 5 czy nawet 10 centów, tj. cały majątek dziecka.

Obok Brunohana ~~był sklep~~ pracownia zegarmistrzowska z oknem na ulicę Groplera. Gropler zmarł dawno, a zakład objął jego subjekt, a mało kto wiedział, że się nazywał Żyliński, lecz wszyscy nazywali go Groplerem.

Otóż ten Groppler II prenumero-
wał z nami do spółki „Czas". Czas
[illegible]ychodził wieczorem, a prenumerato-
[illegible]rzy z kartą zgłaszali się do lokalu
[illegible]su na ul. Różanej – potem nazwa-
nej ul. św. Tomasza – lub do paru
[illegible]ciej i odbierali swój numer, a wy-
jeżdżający wykreślali kolorowym ołów-
kiem numer odpowiedni w karcie a-
bonamentowej. Groppler powiedział, że
mu wszystko jedno, czy Czas dostanie
wieczorem, czy na drugi dzień rano,
więc braliśmy Czas wieczorem, ale
że czasem nie było można go prze-
czytać, gdy przyszli goście na poga-
dankę wieczorną, więc potem no-
siłem Czas Gropplerowi wieczorem,
na drugi dzień przynosił go do nas

mój ojciec, jeżeli odwiedzał Grop-
lera, lub ja. Czasem Gropler,
który miał w lokalu zawsze kilka
zegarów z muzyką do reperacji,
kazał mi zakręcić i puścić w
ruch muzykę naprawionego ze-
gara. Za naprawy nie liczył zbyt
wiele, więc cały Kraków znosił
do niego wszystkie muzykalne
zegary, ale Gropler zastrzegał
się, że nie naprawi prędzej jak
za parę tygodni lub nawet za 3
miesiące. Mieszkał w tym sa-
mym domu gdzie miał sklep
i opowiadano, że od 30 lat nie
wychodził na ulicę za dom!
Krewnych nie miał, żył samotni-
czo, czytając tylko Czas i Kalen-
darz. (Żył jeszcze długo, a gdy się

zbliżył koniec, namówili go jacyś znajomi i się zgodził, że majątek około 10.000 guldenów zapisał – na budowę pomnika Mickiewicza w Rynku Krak.)

Nie przypominam sobie, aby Czas wywarł jakieś większe wrażenie lub dyskusje w gronie osób, wśród których jako dziecko się kręciłem, dopiero później, gdy powstała druga codzienna gazeta „Kraj", bywały jakieś polemiki, nawet jakiś czas prenumerowaliśmy z Graplerem Kraj zamiast Czasu. W rozmowie ~~mi~~, ~~ktoś~~ używano (niekiedy) zwrotu: „stało w tym Czasie, co twój Kraj napisze, że"... gdyż Czas, jako długo jedyny w Krak. dziennik, był synonimem gazety.

Okolica od Kościoła Sw. Piotra po Rynek, była wtedy terenem codziennej styczności – inne części miasta odwiedzało się rzadziej w miarę interesów, w dni targowe rynek i plac Szczepański, przy sprowadzeniu węgla wozem, przy potrzebie jakiegoś drzewa deski, łat, plac Groble, w wielki piątek i sobotę zwiedzało się, odległe kościoły – w drugie święto w Nocy Zwierzyniec (Emaus) w następny wtorek Kazimierz i Podgórze w przeddzie na rękawkę, w Zielone Święta Bielany.

– W niedzielę i święta na Błoniach przy spalonym „moście" na końcu ulicy Wolskiej i na Półwsiu Zwierzynieckim stały fury chłopskie, które zabierały wycieczkowiczów po 5 do 10 centów od osoby, przewożąc całe rodziny z ich wiktuałami, do

Bielan lub Woli Justowskiej – w sierpniu znów chłopi ze wschodniej części wozili na odpust do Mogiły i na Kopiec Wandy.

Wszystko, co leżało za plantami nazywało się „daleko" więc np. wszędzie mieszkających za plantami było wyprawą długo naprzód przedyskutowaną, tatrzańską w porze letniej i częściej, rzadziej przy krótkich dniach zimowych, bo powrót „w nocy" wydawał się wprost nowym przedsięwzięciem. Ograniczało się do przechadzki plantami dokoła – śród drzewca – w niedzielę odwiedzano cmentarz na Rakowicach. Już za ogrodem strzeleckim ciągły się, jak okiem sięgnąć, łany zboża, z rzadka widać było grupy drzew, a wśród nich przedmiejskie dworki. Najbliższa okolica

koło plant składała się rów-
nież z półwiejskich posiadłości
pałacyków, dworków, domków za
parkanami wśród gęstej zieleni.
Ulice Karmelicka, Długa, Kro-
wo-derska, Łobzowska biegły mię-
dzy prawdziwie parterowymi dom-
kami, przegrodzonymi ogródka-
mi, tu i ówdzie z gankiem i
pięterkiem. Wojciechowiczowi, mie-
dożytnikowi na Kazimierzu, pro-
ponowano, aby kupił za 4 000
guldenów posiadłość na rogu u-
licy Zwierzynieckiej, obecnie Anczyca,
obok dworku św. [illegible] —
ale z oburzeniem odparł: przecież
to za miastem! W nocy trzeba iść
z latarnią!
Planty nie były wcale równi-
ną jak dzisiaj. Główna ścieżka —
bliższa ~~sto~~ śródmieścia była mniej
więcej na równej już powierzchni,
(ale mniej niż obecnie)

ale tu i owdzie ~~trawnik~~ ~~znacznie~~
zaznaczała się różnica terenu,
pagórkowatym trawnikiem od stro-
ny śródmieścia, z którego został,
mimo nadsypania ścieżki, widoczny
pagórek między ul. Wiślną a gim-
nazjum Św. Anny (Ulica Karola
Olszewskiego – pagórek koło ko-
ścioła Św. Krzyża, dalej wybitny
przy Grodzku z którego ścieżka spada
znacznie, a jeszcze dalej widoczny
spadziste wzniesienie dźwigają-
jące dawne Collegium Jezuickie
i kościół Św. Piotra (prawdopo-
dobnie brzeg dawnej Wisły!) a
obok ścieżki pod tym pagórkiem
~~był~~ ciągła się prawie po samy
Stradom głęboka fosa, w której
była niezgorsza szkółka drzewek,
których korony nie dosięgały
powierzchni ścieżki, więc do 4
m. głęboka! Resztki dawnego

stawu Św. Sebastyana.

Trawniki opadały ~~też~~ w kre-
ńonku na zewnątrz miasta, np.
cały trawnik od zamku ku ulicy
Franciszkańskiej leżał przy ścieżce
o dobry metr niżej, żal, że można
było spaść ze ścieżki, dopiero przy
dobrej regulacji plant obudzono tę
ścieżkę a trawnik nadsypano. Gra-
ble były [illegible] jeszcze potem zala-
nym wodą, w której łowiliśmy na-
łużnice.

Pod zamkiem był przewóz przez
Wisłę, po cenie od osoby, galarem.
Na przeciw zamku były w Dębnikach
tylko dwie ~~prz~~ zabudowania
każde mieszczące ogród ze stoła-
mi i ławkami, altaną i krę-
gielnią dla gości, stąd szło się
dalej na lewo do Ludwinowa, na
prawo brzegiem do chaty Twardow-

starej, kanonicznie nazwanej do Tylmowic (Karczma Rzym), zresztą było pustkowie, z paru chatami naprzeciw Żwierzyńca.

Błonie, o ile nie było dłuższych upałów, było zasiane kałużami. Zimą, jak kto przypasał łyżwy za Spalonym mostem (dziś budynek Sokoła etc.) to wędrował wyżyłowato po zamarzniętych kałużach hat po Wolę, Kawiory, Czarną wieś. Dopiero po 1866 r. zaczęto równać Błonia, przeprowadzać rowy od= pływowe zwłaszcza na parady woj= skowe w sierpniu na urodziny cesarskie,

Wracam do Podolusia. Przed ośmią, wem nim do szkoły mam zupełną swobodę. Majstruję coś w warsztacie, potem wybiegam na drzewnicę.

Tu zawsze znajduję dzieciarnię i jakąś zabawę a zaostrzywszy nieco apetyt wracałem do warsztatu, gdzie w którego końcu montowała matka ze służącą obiad. Tu dostałem kromkę chleba z masłem (lub powidłem), albo naleśnik prosto z patelni. Obiad był o 12 godz. Ja z bratem i korepetytorem (brata), Czeźnikiewiczem, z ojcem i matką jedliśmy w pokoju przy sklepie, „chłopcy" tj. terminatorzy dwóch lub trzech ze służącą w warsztacie, menu było to samo przy obu stołach, tylko chłopcy jedli ze wspólnej miski zupę czy rosół. Potem była sztuka mięsa z sałatą zieloną lub głąbikami, ogórkiem kiszonym, w innej porze roku, albo pierogi (jakie z kapustą, ziemniakami i grochem) fasola itp. Chleb ad libitum. Czeladnik, czasem było ich dwóch, jadali gdzieś za domem. Na wiliję, B. Naro-

rocznie; w. Noc zastawiano wspólny stół dla nas i czeladników, chłopców i służącej w warsztacie, obsługiwała służąca, ale wszyscy jej pomagali w obec trudności zmiany talerzy, półmiska etc. W pokoju naszym wieszano sad, tj. choinkę, na której gałązkach przymocowywaliśmy jabłka i orzechy. Żadnych prezentów nie dawano, ani na Nowy Rok kolendy.

Kiedy przeprowadziliśmy się na ulicę Szpitalną, codziennie przed ósmą szedłem do gimnazjum Św. Anny skrótkiem Sukiennic ku Brackiej ulicy, a potem w ulicę Św. Anny. Po drodze przystawałem przy Collegium physicum, jeżeli we drzwiach tegoż stał, co mu się często zdarzało, stary Kruk poważny, potem, jeżeli był jeszcze czas, wstępowałem na pacierz do kapliczki

Św. Jana Kantego w Bibliotece Jagiellońskiej. W klasie zlecerali się punktualnie wzruszenie w środ okrutnego hałasu, dopóki nie pojawił się profesor, mający tą „godzinę". W pauzę zagryzało się bułkę lub co kto w kieszeni przyniósł z domu w papierze, inni kupowali bułkę lub obwarzanek w sklepiku Tercyana, ale rychło odezwał się dzwonek zwołujący do klas z powrotem!





KTORA

PRZEDTEM ŚWIATA NIE WIDZIAŁA

KRONIKA

lat przebytych
w Gimnazyum Śtej Anny w Krakowie
spisał

Et nos aliquod nomenque
decusque gessimus.
Virgilius

z własnych wspomnień i o-
powiadań ludzi wiarygodnych
i opatrzył illustracyami
Klemens Bąkowski
1880.







iedy na uniwersytecie studyowałem, zaj=
mował wszystkich historyków żywo
spór o porzuconą przez M. Bobrzyń=
skiego kwestyą podziału histo=
ryi Polskiej na okresy dziejowe.

Wówczas w wolnych chwilach
zająłem się i ja podziałem histo=
ryi lat przebytych w gimnazyum
Ś-tej Anny na okresy i napi=
sałem następującą kronikę:"

Która przedtem świata nie widziała

„ Kronika
lat przebytych w ochronce *)
Ś-tej Anny
w Krakowie".

Do której dorobiłem jako wstęp
następujący Sonet:

/.

---

*) W chwilach niezadowolenia nazywaliśmy
gimnazyum „ochronką".

Wstęp

Do historyi naszej klasy.

Znów się mojej malują pamięci
Minionej lepszej przeszłości postacie,
W piękniejszej jeszcze, niżli dawniej, szacie.
Jakżeż ku sobie wasz obraz mię nęci!

Chociażeście dzisiaj poważniej zajęci
Wy jednak równy urok dla nas macie,
Równie się miłe nam przypominacie.
Ujrzeć was jeszcze budzą się w nas chęci.

Powstań przeszłości do życia wzbudzona,
Ukaż się jeszcze o przeszłości złota!
Niech wszelkie czyny przeszłości podane

Żyją! Niech wiernie tu odzwierciadlona
Nagrodę słuszną otrzyma swą cnota —
A winy niechaj giną zapomniane!

10/8 1880

R. B.

Et nos aliquod nomenque decusque gessimus.

Część ogólna.

§ 1. Jakkolwiek forma rządu nader ważny wpływ wywierała na ustrój naszej klasy, niepodobna twierdzić, żeby stanowiła z jej zmianą nastę‑ powały zwroty stanowcze w naszej hi‑ storyi. Wprawdzie zmiana formy rządu schodzi się z początkiem nowego okresu w klasie ~~V~~ IV i VI, nie ona jednak decyduje o kierunku pracy społecznej, nie zmienia jej podstaw.

Dzielimy więc historyę naszą na następujące okresy, których charakterystykę podamy w części szczegółowej:

Okres I patryarchalny, od I do III klasy

Okres II od VI państwo prawne

Okres III od VI do VIII, państwo despotyczne.

W okresie I była władza profesorska patryarchalną, absolutną, w okresie II była forma rządu republikańska. Gospodarz klasy był tylko reprezentantem władzy wykonawczej, ale przeciw zachciankom absolutyzmu toczyły boje. Po krótkotrwałym zaniechaniu stanu prof. Kosteckiego z usunięciem jego wracamy do swobód obywatelskich. W okresie III dostajemy się pod rządy despotyczne profesora R. z których dopiero wywalczyła nas wielka burza socyalno polityczna, t.j. matura.

§2 Terytoryum, na którem się nasze społeczeństwo rozwijało, było gimnazyum S. Anny także pod tym samym ~~st~~opniem szerokości i długości geograficznej co miasto Kraków. Pod względem topograficznym odznaczało się ~~przeludnieniem~~ ciasnotą, a przeludnienie wywoływało bójki

których sprawców w natłoku nie mo-
żna było znaleźć. Dymiące piece
i śmierdzący kanał nie mogą być
zaliczone do szczególnie pomysłowych
higyenicznych środków wychowania.

§ 3. Hierarchia urzędnicza. Wi-
doma głową gimnazyalną był p.
Ignacy S. z tytułem dożywotniego dyrek-
tora z najwyższą władzą egzekucyjną
a po części i prawodawczą. Do wykony-
wania tej władzy służyli mu jako
organa a) gospodarze klas b) profe-
sorowie zwani belframi c) dwaj lek-
torowie zwani „teryanami”.

Władzę sądowniczą dzierżył dyrektor
z wiecem urzędniczym czyli tzw. „Kon-
ferencyą” stale co niedzielę odbywa-
ną, w razach nadzwyczajnych ad
hoc zwoływaną. W wiecu tym
brała udział cała hierarchia
urzędnicza (prócz teryanów, któ-

ry mogli co najwięcej podstawić
pod drzwiami lub przynosić belfrom
wodę w karafce itp.) Od wyroku
więcej można było apelować do Ra-
dy Szkolnej i do p. Boga. Całe
gimnazyum dzieliło się na depar-
tamenta zwane klasami, na
których czele stali gospodarze
obdarzeni dość szeroką autonomią.
§ 4. Społeczeństwo ~~klasy~~ gimnazyalne dzieliło
się na 2 stany tj. belfrów i porzą-
nych ludzi czyli tak zwanych ucz-
niów. Drudzy tj. uczniowie dzielili
się na wyższych (od V do VIII klasy)
i niższych (od I do IV) zwanych
przez wyższych „sztubakami". ~~Ucz~~ Ucz-
niowie od V do VIII obdarzeni byli cen-
nymi przywilejami np. de non tatan-
da scura*), podczas nabożeństwa w
kościele siedzieli w ławkach (co prawda

*) Wykluczenie kary cielesnej

właściwie dla braku miejsca, a nie dla ich uczczenia). Społeczeństwo każdej klasy dzieliło się znowu na „forsugów" i tzw. simplices servi Dei. Pierwsi mieli moralne przewództwo, oni reprezentowali klasę na zewnątrz np. winszowali profesorom, udawali się w deputacyi w sprawie dymiącego pieca, urządzali majówki, wycieczki, i.t.d. Czasem „simplices" z przekąsem się odzywali o „forsugach" (tj. celujących) ale to tylko wyjątkowo w gniewie, bo zresztą harmonia była najzupełniejsza i prerogatywy forsugów uznawano powszechnie.

Część szczegółowa

Roku p. 1871 wstępowaliśmy z dumą lecz trwogą zarazem na schodki prowadzące do gimnazyum Sty Anny.
(Dziś skasowane z ulicy)

7.

U drzwi samych ujrzeliśmy odźwiernego pana, Jmć. Wincentego Antoszka, ck. tercyana b. feldfebla, kawalera 4 medali między tymi jednego papieskiego. Widząc tak udekorowanego organ nawet podrzędny, nabraliśmy tem wyższego wyobrażenia o wyższych dygnitarzach tego zakładu. Zyskawszy sobie szóstką protekcyę tego pana poinformowani zostaliśmy o formalnościach co do zapisu.

Na dziedzińcu stał tłumny zastęp tat, mam, cioć, sióstr i korepetytorów oczekujących na wynik egzaminów wstępnych. Na drugi dzień i my przyszliśmy z papierem, piórem i atramentem, aby zdać tę wstępną maturę.

Z profesorów szczególniej zaintrygował nas jeden metodą, przystojny a jowialny p. Smarkowski. Wszedłszy

do klasy powitał nas wesoło: jak się
macie wszyscy czy coś podobnego, pociąg-
nął jednego za ucho, uszczypnął
drugiego w policzek, trzeciego ubrał
w swój cylinder (ten ostatni był
niespospolicie dumny że mu pro-
fesorski cylinder wleciał po sam nos
na mózgownicę). Po krótkiem ponownie
obdarzył każdego jakimś przydom-
kiem: Bonifacym, Szkalpuronim,
Kiełbasińskiem i t. p. Zdaliśmy
egzamin wstępny, a następnego
dnia byliśmy na uroczystem we-
zwaniu Ducha Św. w kasernie,
w którym 6 muzykantów wojsko-
wych pod osobistym kierownictwem
p. feldfebla ~~De~~grało podczas
mszy, a starsi koledzy beczeli
na chórze. Nazajutrz zameldowa-
no naszym gospodarzem p. L. i tak
rozpoczęliśmy naprawdę naukę.

./.

Okres I
Rządy patryarchalne
od I do III klasy.

§1 Forma rządu.

Doświadczenie historyczne poucza, że społeczeństwa młode, na niskim stopniu oświaty stojące nie są powołane do życia publicznego, a władza patryarchalna absolutna wychowywa normalnie pokolenia, póki nie będą zdolne same sobą rządzić. To też nad klasą naszą objął władzę p. L. jako gospodarz, znany z talentu organizatorskiego: on nas wyuczył czwórkami maszerować do kościoła, on nami kierował aż do III klasy, kiedy dyrekcya powołała go napowrót do organizacyi nowej I klasy. Młode nasze społeczeństwo kształciło się dopiero, nie miało jeszcze poczucia wolności, i władzę gospodarską absolutną znosiło bez szemrania.

/.

§ 2. Hierarchia urzędnicza.

Prócz gospodarza, uczącego z kolei łaciny, polskiego, geografii, zapisał nam się w pamięci p. Kosiński, który objął łacinę. Zwano go „złotym”, bo był bardzo cierpliwy i pobłażliwy. Katedrę matematyki posiadał p. Kos... zwany „szewcem” – nie wiem z jakiego powodu, gdyż ten tytuł dały mu już poprzednie pokolenia studenckie, a my go tylko w spadku objęliśmy.*)

---

*) Dziś widzę, że sąd nasz o nauczycielach nie zawsze był prawdziwy. Żeby najlepszy był profesor, to przynajmniej jeden łajdak znajdzie się między uczniami, który mu dokuczy, wyprowadzi z równowagi, popsuje opinię. Zresztą monotonne zajęcie wyrabia z profesorów oryginałów, a te drobne ich śmieszności, zwyczaje, pedanterya, lub inne niewinne właściwości, uderzają chłopaków, wywołują szyderstwa i sąd niewłaściwy.

Katechetą był <u>Ks. Bober</u>, tak krótko-
widzący, że raz posadziliśmy w ostat-
niej ławce psa, a Ks. zapytał go: jak
się nazywasz chłopczyku? po nim
objął katedrę teologii ks. Strzelichowski
a wreszcie popularny ks Nawiński, o
którym niżej będzie jeszcze szerzej pisano.
Chwilowo kształcił nas <u>Klęsk</u> z ta-
bakowym głosem, <u>Kukczyński</u>, zwany
Abkrecyą. Od czasu do czasu odwiedzał
klasę ck. Dyrektor. Oprócz Dyrektora
~~nikt~~ przywilej wchodzenia do klasy bez
pukania miał tercyan, przynosząc ok-
kurendę ~~od~~ z poleceniami Dyrekcyi.
Wizyta taka była prawdziwą uciechą,
bo najpierw kurenda dawała zawsze
oraz przedmiot do humorystyki, kry-
tyki, wyszydzania profesora, co nieco
czasu zabierała, a niejeden pytany
właśnie przez nauczyciela miał czas
tymczasem zasięgnąć języka z są-
siadów, przytem wszyscy ~~..~~ przedewszystkiem.

niem dowiadywaliśmy się od Teryana
rychło się godzina skończy – bo w
zegarki nie obfitowaliśmy wcale w
owym wieku. Teryanowie byli też
popularnymi osobistościami. Ów
dekorowany, o którym wspomnia-
ny, lubił wdawać się w pogawędkę
jak wojował w Majlandzie, Mene-
dygu, opowiadał, jak bywał w róż-
nych stronach świata, przywodził na
myśl długie swej wędrówki lata.
Fama głosiła, że za szóstkę zadzwonił
o 5 minut przed godziną. Gdyśmy zrazu
wieczorem się zabłąkali do gimnazyum,
Wincenty z pękiem kluczy powoli prze-
suwał się po gankach, – jak Gerwazy
po zamku – a jeśli sobie podchmielił,
wdawał się chętnie w pogawędkę: a co
to panowie myślicie, że ja nie umię
po łacinie? a bonus bona bonum, a
asinus asinorum? he! Podobno Tom-
kowi zawdzięcza swój koniec, bo gdy
raz z podniesionym wódeczką zapałem
zabrał się sam do przemawiania

/.

rozpłakał Pawełek, „oberwał się“ i po krótkiej chorobie pośród podżegnał się z przodkami, tam, gdzie i my się może kiedyś z nim znowu zobaczymy. Sit ei terra levis.

§ 3. Profil hist. p. Jana Gwoździa

Drugim tercyanem był p. Jan Gwoździk, odwieczny, wychował już przed nami i po nas wiele pokoleń[1]). Był on wzrostu niskiego, wspaniałej postaci (zwrot logiczny p. Jana Majewskiego, zwanego Młodzieńcem, późniejszego kolegi naszego). Nie mógł oprawiać żadnego orderu jak jego kolega Wincenty (w urzędzie tercyana była kolegialność zaprowadzona) – bo ~~życie zacząt~~ rozpoczął żywot publ. jeszcze za czasów bezorderowej Rzplitej Krakowskiej, ale używał jeszcze większej powagi, niż Wincenty. Siwy, wąsy ściągnięty,

[1]) Jeszcze w r. b. (1898) widziałem go czerstwego na emeryturze spoczywającego.

na pierwszy rzut oka robił wrażenie
poczciwca, jakim był w istocie. Na
dni uroczyste, jak rozpoczęcie roku szkol-
nego, przyjazd dygnitarzy z Rady Szkol.
maturę, wdziewał mundur granatowy
oblamowany czarno-żółtym paskiem
i czapkę ces. król. kształtu. Lubiano
go powszechnie i on lubił młodzież,
a tradycya przechowywała niektóre cha-
rakterystyczne fakty. Opowiadał
mi quidam grandaevus, że gdy raz
Dyrektor kazał Janowi dopełnić eg-
zekucyi w kancelaryi tj. wypalić
parę rózg smarkaczowi, to uczynił to
ku obopólnemu zadowoleniu:
i Dyrektor był kontent z zama-
chu ręki p. Jana i krzyku delin-
kwenta, i delinkwent z lekkiego ude-
rzenia. Pytał go raz Dyrektor przed
zaczęciem conclave (tj. zamknięciem
uczniów w sali do rozwiązania zadania
maturalnego): Janie, czy żadna szy-
/.

ba nie wybita *)[2]. „Wczoraj były wszystkie całe!" odpowiada Jan. Nie kłamiąc więc nie powiedział jednak prawdy.

*) Matura budząc strach w uczniach wyrobiła wprzód, że niezmiernie potajemnemi drogami, zwłaszcza dla słabszych uczniów, starano się o dostanie wypracowania tematu od zamówionych filozofów, akademików, guwernerów z zewnątrz. Wyrzucano więc temat przez dziurę w oknie, a który z zamówionych niższoklasistów niósł go do „pracowni" tj. do miejsca, gdzie według umowy, czekali guwernery i t. p. i zaraz wypracowali zadania (najczęściej kiepskie, tak, że tylko najsłabsi uczniowie mogli z nich coś skorzystać) wyrobione zadania w paczce zadresowanej rzucano przez okienko do piwnicy, skąd je zabierał znowu jakiś zamówiony niższo-klasista i doręczał któremu z maturzystów, który niby dla celu, raby lub potrzeby naturalnej na chwilę wyszedł koło południa, (z consensu) ten przynosił ukryte w kieszeni zadania i po cichu oddawał adresatom. Mimo baczności i śledzenia, za- pod umówionymi pseudonimami, jak Miltiades, Xerxes, itd

Dzwonił punktualnie z uderzeniem zegara ratuszowego i nie dał się do przyspieszenia namówić.

§ 4. Społeczeństwo naszej klasy

Już w zamierzchłej przeszłości prewalencya naszego oddziału II nad I objawiać się zaczęła, i nieraz jawnie mówiono, że tęgsi są uczniowie drugiego jak pierwszego oddziału, choć więcej łobuzów. Z wybitniejszych osobistości owej epoki — zapomniałem o mniej odznaczających się współkolegach — wspomnieć trzeba kolegę nazwiskiem Klakla, który już wówczas wysłużył podobno 3 lata w wojsku — wkrótce straciliśmy tego weterana — bo się ożenił i zniknął z horyzontu. Był żydek niechlujny Wetzlein, któremu Trzaskowski groził, że go powiesi na haku u sufitu. Z niedoli I klasy pamiętam tylko tyle *).

Dwóje dostawały się prawie zawsze, bo przynajmniej jednem czuwającym, profesor przymykał oko. Zresztą używano wiele innych podstępów i dróg w tym celu. —

ześmy się na Błoniach po drodze poturbowali z realistami czy Barbarakami, że ósmacy prowadzili p. Truszkowskiego wesoło wyśpiewującego pod pachy, że odprowadziliśmy z muzyką Dyrektora na ulicę Szewską pod Toporkiem, tam wykrzyknęliśmy mu vivat! a on z okna dziękował za tę owacyę.

§ 5. Czasy klasy drugiéj.

Skończywszy I klasę, pożegnawszy miłe wakacye *), zaczęliśmy drugi rok studyów. Najmiléj schodziły nam tu godziny niemieckiego języka pod surowym kierownictwem znanego nam już p. Truszkowskiego. Tak uczniów ochrzcił przydomkami, tak wytworzył gwarę i różnych przezwisków. Stopień wcale niezadowalniający, siódemka, zwała się „siekiorzą", szósty „pataszkiem" i t. p. Gdy wziął zadania do domu do poprawy, trzymał je 2 miesiące, nareszcie przynosił paczkę

*) Na wakacyach byłem wtedy w Trzcinicy u przyjaciół rodziców pp. Schmidów. Bywał tam p. prof. Kulczyński i raz ze zdumieniem przeglądnął mój zeszyt, gdzie sobie zapisywałem przeczytane przez siebie książki, a gdzie

zadań – niepoprawioną. Dopiero w szkole podczas lekcyi przeglądał i poprawiał w naj-sumaryczniejszy sposób: przeglądał, krzyk-nął: Szelbasiak! Patasiak! masz! to mówiąc rzucił zeszyt adresatowi do oddalonej ławki. Tafuńczy! Szelkserka! masz! i znowu zeszyt fruwał w powie-trzu; cyfry, oznaczające stopnie dobroci, walił czerwonym ołówkiem przez całą stronicę.

Historji uczył Łokarewski, a że wy-magał, aby dosłownie recytować Wel-tera, więc go nie lubiliśmy porządnie. Łaciny chwilowo uczył Kulczyński, potem Kruczkiewicz. Ten mordował ucznia przez całe pół godziny i tak go pytaniami w wysoką dziurę zapędził, że z pytanego lało się pot strumieniami.

Istniał wtedy zabobon, że kto siódmy wejdzie do klasy, to „zrypie" (nie będzie u-miał odpowiednie lekcyi należycie). Zda-ignorował Robinzon, Gaboriau, Gulliwer, Kock, Historya Napoleona, Walter Scott, Bodzia, i t. p. co mi pod rękę wpadło to się czytało choćby na godzinach pod ławką.

Pierwszą książką, którą przeczytałem, była Beckera „Oblężenie Troji", czyli stre-szczenie Iliady. Tak mi przypadło do gustu, że postarałem się zaraz o „Po-wrót Ulissesa do Itaki" tegoż Becke-ra, a następnie Fenelona Podróże Telemaka – potem dopiero dobrałem się do Robinzona Kruzoe, Szwaj-carskiego i innych. W braku jakiegoś zewnętrznego kierunku lekturą, po-chłaniałem co się dało coraz więk-cej głównie powieści. W miarę gim-nazyum wyczerpałem już prawie całą wypożyczalnię Grünpluma. U an-tykwarza Diamanda na ul. Szpital-nej pożyczałem książki po 2 centy za tom. Nie mogąc dostać nigdzie Trzech muszkieterów po polsku, zabra-łem się do ich lektury w V klasie po niemiecku. Z początku szło mi trud-no i obco, ale coraz łatwiej. Odtąd czytałem więcej po niemiecku jak po polsku, aby nabrać znajomości języka niemieckiego.

rzało się więc nieraz, że gdy przychodzący zastali ciszę pewną w swej klasie, domyślając się, że dopiero nie wielu w niej kolegów, bali się wejść, aby który z nich nie był siódmym. Siedzący w klasie umyślnie utrzymywali w tajemnicy swą ilość, a tymczasem pod drzwiami zbierała się coraz większa kupa, nikt wchodzić nie chciał, nareszcie przybywający na lekcję profesor wpędzał bandę do klasy. Nieraz wmawiano w jednego, że on był siódmym, a biedak drżał cały czas, a nieraz i naprawdę żył pod wpływem wmówienia w niego tego pewnika. Nieraz w klasie było ze 20, ale cicho siedzieli, aby przychodzący myśleli, że dopiero ich kilku, — a pod drzwiami gromadziła się reszta.

W klasie II utraciliśmy kolegę Aleksandra Maj... zwanego „Kiedbaśnikowem" gdyż dostał dwójkę... Albo się na jego wiedzy nie poznano, bo w klasie po nas

idzcej zostać „forcugiem" – albo klasa,
po nas idąca tak trochę stała, że „Krethasińk"
został forzugrem mózgiej mimo. Straci-
liśmy nałomwracać na zawsze kolegę
Stocha, bardzo zdolnego i pilnego,
zmarłego w Dobczycach na tyfus. Roz-
stawił się szeroko w całem gimnazyum
kolega nasz Dulowski – mianowicie
ustrzelił sobie przypadkiem palec
z pistoletu – skutkiem czego Dyrekcya
wydała surową kurendę zakazującą
młodzieży wszelkiej broni palnej i
siecznej. Omal, że scyzoryków nie
zakazano.

§ 6. Czasy Klasy III – rozpoczę-
liśmy pod nienajlepszemi auspi-
cyami, greka przerażała nas strasznie,
dopiero po czasie poznaliśmy, że to
strachy na Lachy. Społeczeństwo na-
sze wzmocniło się kilku nowymi
nabytkami: Z Nowego ~~Sącza~~ przybył

/.

Zacharyasz Bartłomiej 2im Gutowski
poznałem w klasie V (VI) wyszły na najzna-
komitszego poetę naszej klasy. Dru-
gim przybyszem był Robert Kle-
mensiewicz później zabłysnął on jako
autor „Ody do Sehotowa" redaktor Co-
sia" a ze mną współredaktor Bom-
by w IV klasie. Przybył z gimnazyum
Śgo Jacka – był to niepopularny u nas
stempel, ale wkrótce jakoś zapom-
nieliśmy mu jego proweniencyi Jacko-
wej. Wybitniejszą osobistością był Tytus
Rogoziński „babcią" zwany. Na lekcyach
„historyi kraju rodzinnego" przyjmował
wyrywania na płaską rękę lub kałaki,
a choć go niejeden ten i ów poturbował, go-
tów był pobity i poszarpany natychmiast
stanąć w szranki do nowej walki. Gdy za-
palczywość lub zemsta nadto go zapaliły,
wówczas Herkules klasowy Gebhardt,
zwany Lucyperem lub Belzebubem popu-

tarnie, brał go za ręce i trzymał na mięśni zemstą ziejącego, póki nadejście belfra nie uspokoiło zapaśnów. Jeżeli go Gebhardt popuścił prędzej, rzucał się jak tygrys na przeciwnika, aby klęskę swą pomścić. Fatalna dwójka, która zmusiła Janicia Majewskiego powtarzyć III klasę, przysporzyła nam tego męża, który zyskał potem przydomek „Złotoustego".

§ 7. P. Ludwik de Laveaux uczył nas historyi. Lekcya rozpoczynała się otwarciem drzwi i okien celem przewietrzenia nasyconego prochem z podłogi powietrza – pocem przystępowaliśmy ad rem z pewną przyjemnością, bo p. Delaveaux odznaczał się uprzejmością i względnością, a uczeń odpowiadał mu bez obawy, podczas gdy na innych lekcyach często szło profesorom zwł. Aszera f. Kolegom nie tyle o nauczenie, ~~ale~~ jak o wykazanie, że przecież ucznia wyłapał na czemś, czego nie umie.

Lubiliśmy więc p. D. – a i on nas lubił, bo opuszczającym Kraków przy pożegnaniu z nami łzy stały w oczach. Dał on nam później miły dowód przychylności przysyłając każdemu ze wszystkich uczniów po egzemplarzu wydanej przez niego „Historyi kraju rodzinnego".

Niespokojne lekcyą namiętności wybuchały po lekcyi na nowo, póki poturbowani, zziajani, czasem podrapani przeciwnicy nie opuścili gmachu szkolnego, wykułakowawszy się po raz ostatni (na dziś) w bramie.

Ideałem p. Rogoińskiego był Robinson Kruzoe, dlatego wybierał się kilkakrotnie do Ameryki. W tym celu siadał na galar pod Żwierzyńcem, póki go babka pod mostem Podgórskim nie przytrzymała. Ta babka tak się nim czule opiekowała, że

./.

od niej Babelą go nazwaliśmy.
Po bezskutecznych kilku wyprawach
wtórnych przeniósł się do Jacka – i
odtąd zniknął z naszych oczu. Gebhardt
podobno poświęcił się z czasem
zajęciu bóżka Wulkana tj. kowal-
stwu.

§ 8. Kolega Piotrowski – opadł na
sławę nie tylko na naszem, ale i
na gimnazyum ś. Jacka. Był to mło-
dzian 6 stopowy z twarzą miłym u-
śmiechem ozdobioną. Kolegowaliśmy
z nim kilkakrotnie, zawsze o rok
zostawał w tyle, ale po roku znowu
spotykaliśmy się na tej samej ławce
szkolnej. Gdy zarepetował u nas,
chodził przez rok następny jako eks-
ternista do Jacka, zdawał z pomocą
guwernerów egzamin i znowu wracał
do nas i odwrotnie. W klasie IV
znalazł się znowu z nami i przy

najbliższej lekcji greckiego twierdził
że „epsilon lambda ściąga się w sig-
ma". Ponieważ zawsze opuszczał się na
podpowiadanie, przeto niedosłyszawszy
dobrze, odpowiadał niekiedy horrenda ta-
kie, że klasa ryczała ze śmiechu. Zas-
straszony, na najprostsze pytanie szu-
kał pomocy sąsiada. Raz go szturcha
i pyta: Co on powiada? (tj. o co go
pyta profesor) „Dlaczegoś nie był wczo-
raj w klasie!" podpowiada sąsiad. „Dla-
czegom nie był?" szturcha znowu sąsiada.
„Byłeś chory!" – a P. spokojnie powta-
rza głośno: „Byłeś chory!" Profesor nie
zauważył odpowiedzi w drugiej osobie i pyta
dalej: A co ci było?
– Co mi było? pyta cicho P. sąsiada.
– No – głowa cię bolała.
– Głowa cię bolała, odpowiada głośno P.
Profesor rzecze mu, aby powiedział jakie
zdanie, w którem przychodzi przyimek
„na"! P. suszy sobie głowę, szturcha

zagadka, ten mu podpowiada: Czy ci sterczy głowa na to przedsięwzięcie? – Czy ci głowa ~~sterczy~~ sterczy na dół, powtórzył głośno P. Odpowiedzi takich dał bez liku, to też potem kompo= nowano najgłupsze odpowiedzi na jego karb, tak, że potem nie wiedziano były które odpowiedzi jego są historyczne, a które apokryficzne. Pytał go raz profesor, kto była Pytia. P. ~~zwrócił~~ zwykłym zwyczajem zgadywał, ten mu pod= powiada „Kapłanka Apollina", a P. głośno powtarza „Kapitanka Napoleona". Na pytanie, z czego się składa logarytm (w późniejszych czasach) na podpowiedzianą odpowiedź: „z charakterystyki i mantyssy" od= powiedział „z gimnastyki i ma= szynisty." Zamiast bitwa pod Wa= terloo powiedział: „pod waltornią".

./.

zamiast Walerynsz Wczmowicz i t. d.

Gospodarz L. wychowywał nas w bo-
jaźni pańskiej i chrześcijańskiej
grozie, mieliśmy więc respekt i strach
przed nim. P. ukulawszy się na Ma-
jówce, zapomniał o szacunku win-
nym gospodarzowi – i uściskawszy go obu
ramionami za szyję wylewał swe
uczucia rozczulony: „Kochanego
gospodarzyka, kochanego naszego gospoda-
rzyka!" a my patrzyliśmy z podziwieniem
na tę niesłychaną poufałość z gospoda-
rzem nie mogąc się wyrwać z jego ra-
mion. ~~[illegible]~~

§ 9. Ksiądz Nowicki. Wspom-
nieliśmy o majówce – trzeba więc coś niecoś
mówić teraz o ks. Nowickim, bo majów-
ka bez ks. N. pomyśleć się nie da. Byłto
Kwiat do tańca i różańca, pożądany
wszędzie, na chrzciny, wesela, pogrzeby,
imieniny, stypy, a zwłaszcza majówki.

/.

Z wykładu ks. Nawińskiego:

Przyjechała tedy przed niego królowa Saba złocistym płaszczem okryta z pierścieniami i bransoletami zdobnemi w szmaragdy, a kolczyki miała z dyamentami jak orzechy laskowe, a w brwi z 18 karatowego złota turkus oprawny w lapis lazu-li. Sandały wyszywane złotemi nićmi w esy floresy nasadzane były brylantami, z szyi zwisał złoty łańcuch z zegarkiem. Obok niej świta na wielbłądach pokrytych karmazynami błyszczała od złota i klejnotów.

Wyprzedził więc Salomon, jako szarmancki człowiek, naprzeciw Saby i powitawszy niebywałym komplementem podał jej ramię elegancko i tak wprowadził ją pod skrzydło do pałacu i t.d.

Już u Barbary byłem na majówce pod
ęży Krzemionkiem — obecnie spotkaliśmy
i znowu w gimnazyum — po dawnemu pro-
tegował majówki i szedł zawsze na czele.
Egzorty miewał krótkie, co nam
się szczególnie podobało. Opowiadając
historyę biblijną puszczał wodze fan-
tazyi i opisywał ze szczegółami nie-
małe rzeczy, jakby je na oczy widział
np. pałac Salomona od piwnicy do stry-
chu czy tam dachu nie zważając na
widoczne anachronizmy i używając
zabawnych porównań np. „żydkowie nie
mieli ławek w synagodze, a jak któ-
rego nogi rozbolały od stania, to sobie
siadł ~~na~~ cukiernicy (na pieckach)". Chłopaków or-
dynarnych wymyślał stworzonymi ad
hoc wyrazami technicznymi jak:
drągalitas, chłopitudo i t. d.

/.

§ 10. Śp. Sofron Tymiński.

Na drugi kurs III klasy objął grekę p. Tymiński, starzec bardzo dobry, lecz słaby, dlatego nadużywano często jego cierpliwości. Miał przysłowie „a zatem" które powtarzał 80 do 90 razy na godzinę jakto kilku statystyków naszej klasy obliczyło. Gdy się rozgniewał wołał: A zatem ten tu mi tu taki będzie! chwytał za katalog, przewracał kartki nie mogąc znaleźć tego którego szukał w katalogu i mówił podczas tego: Ja tu zaraz zrobię porządek... parę pręgi wykażę na biciu, połowę się wydali... a zatem połowę się ukarze... trzecią połowę wypędzi, powie się im: idź sobie bratku, a zatem będzie porządek. Podczas tego monologu patrzył na klasę z po za cwikiera na końcu nosa umocowanego i wreszcie krzyknął: Latosiński! Latosiński jakoś najlepiej utkwił w pamięci p. T. wśród najczęściej

go wyrzucał. Czasem zapominał
się staruszek i stawiał dziwne pyta-
nia np. Gutowski! jak się ty nazy-
wasz? — Gutowski, odrzekł zapytany.
Zatem ty Gutowski powiedz mi kon-
strukcya tego zdania jest taka... któ-
ra jest jaka? Gdy kilku nie odpo-
wiedziało na pytanie wyrzucał
jednego po drugim a burę dostał ostat-
ni — który na pytanie odpowiedział.
Ubierał się starannie, sive raczej wło-
sy grzebykiem konstruował tak, aby
łysinę zakrywały.

Okres II
Od klasy IV do VI

§ 11. Zmiana formy rządu. Gdy nam na początku IV klasy oznajmiono, że p. L. przestaje być naszym gospodarzem – umysły nasze, pozbawione długą niewolą poczucia wolności, nie umiały ocenić tej zmiany „denn jedes Neue auch das Glück erschreckt." Często dowodem, że forma rządu nie wpływa na zmianę podstaw pracy społecznej i rozwoju, że jest ona tylko skutkiem, cechą, a nie przyczyną. Jednym wydała się ta zmiana obojętną innym, nawet smutną, bo nie wiedzieli, jaki będzie nowy nasz władca. A nuż przyjdzie jeszcze gorsza niewola? Chwilowo byliśmy więc bez gospodarza, a podczas tego bezkrólewia zjawiły się pewne dążności do wolności, zaczęto zastanawiać się nad położeniem, radzić nad przyszłością

/

broić, gonić, krzyczeć. Ten ruch libe-
ralny zaniepokoił c.k. Dyrekcyę Gimn.
i skłonił go do szybkiej nominacyi
nowego gospodarza w osobie Dra Augu-
sta Sokołowskiego. Gdy pierwszy raz
wszedł do naszej klasy, wszczął się wiel-
ki krzyk, gwałt i narzekanie.

— „Gdzież jesteśmy! co to wrzask!" były
pierwsze słowa zdumionego gospodarza.
Dr S. dawał epizodycznie niemieckie przez
parę dni, poczem dyrekcya, spostrzegłszy,
iż my, odrzuciwszy sromotną niewolę
poczęliśmy dążyć do zupełnej swobody,
przeniosła pana S. do wyższego gimn.
a nam narzuciła despotę p. Kotec-
kiego. Srogie rządy tego despoty o-
mało nas nie zgnębiły, na szczęście
nie długo szczęśliwy los powołał go
do Kołomyi. Zebraliśmy na nowo
siły do walki z następcami jego

/.

Żukowskim i dyktatorem Molinem, a z walki tej wyszliśmy zwycięsko zdo-
pewniwszy sobie pewne swobody, jak o tem niżej.

§ 13. Kotecki był typem prawdziwego despoty, z pokornymi dumny i zarba-
ziany, z mocnymi podłętpny. Chudy jak szczypa, wysoki, tym wyższym się wy-
dawał dla swej ciężkości. Oczy głęboko gdzieś schowane, ponure, nigdy się nie śmiał. Mówił mało, ale dobitnie: „wy-
noś się – za drzwi! precz! nieżyczliwie!"
(Był to suchotnik słaby na pierssi i choroba zrobiła go takim – sit ei terra levis.) Oczywiście chorych ptno rzadko pamiętał, pisząc za to krótko kredą na tablicy wyrazki; man-
daty, dyktata quaestiones i t. d. Raz zażądał, aby uczniowie mieli wszyscy jednako oprawne w papier kolo-
ru „drzewnego". Mikt nie mógł odra-

gi zapytał despoty o wyjaśnienie, strach
padł na całą klasę, jakiż to kolor drzew-
ny? gdzie dostać papieru koloru drzewnego?
Dysputowano, radzono i kupowano
rozmaite papiery żółte, jaśniejsze, ciem-
niejsze, jeden pomysłowy kupił ro-
lę tapety imitującej fladry i utworzył
z niej 1/100 części na kajet. Skutek był
taki, że każdy zeszyt miał inną o-
kładkę. Dopiero potem dowiedzieliśmy
przez demonstrację, że despota ro-
zumiał przez drzewny kolor papier
brązowy, pospolicie na okładki u-
żywany. Gdyby był mi nie mówił
bylibyśmy wszyscy takie okładki mieli,
a przez daltonizm jego rozkaz spro-
wadził skutek wprost przeciwny.
Był to czas srogiej niewoli, gdzie
więzienia były zapełnione, a kary
pisano całemi ryzami papieru.
Odwróćmy oczy od tego srogiego

/.

obrazu i zabawny musiał ocenić wesołkiem.

§ 14 Czesław Ł. — zwany był wujkiem tak pospolicie, że gdy raz ch. Dyrektor zapytał kogoś: kto ma następną godzinę u was? odpowiedział: p. Wujek. Opowiadali starzy, że na drzwiach pod nazwiskiem Czesław Ł. (nie wiem dla czego nie Czesław?) podpisał sobie: „patet auxilium petentibus" (stoi otworem proszącym) a ktoś dopisał: cubanaque ferentibus." („i niosącym kubany!") Anegdota ta mówi bardzo wiele, mądrej głowie dość dwie słowie. Do ucznia który lekcyi nie umiał mówił: Nic nie umiesz… niech się twój papa ze mną zobaczy! Do katalogu uczniów wpisywał i inne osobiste uwagi np. raz czytał na konferencyi wykaz nieuczących się i wymieniał po kolei nazwiska:

— „I wykarany... Y wykarany z wy-
ka.... zaraz, coś tu mam zapisane:
indyk! aha! indicativus, on raz coś
umiał... niewykarany!"

Wykładając gramatykę (łacińską) lubił wszystko mnemotechnicznie przypominać porównaniem do pięciu palców ręki np: Mam 5 palców i 5 deklinacyj — mam 5 palców i 4 konjugacye! Zapamiętaj to sobie! Równie korzystnych pedagogicznych metod używał i w innych kierunkach: np. dla ułatwienia zrozumienia użycia konjunktywu a indykatywu kazał zawsze rozróżnić Cezara piszącego od Cezara wojującego w Gallii. To Cezar inny, a to inny, pisze o sobie jak o kim drugim, zapamiętaj to sobie. Skutkiem tego kolega nasz Dzikowski uwierzył w końcu że było dwóch Cezarów

/.

i w zadaniu polskiem popisał raz: „opowiadał nam o Cezarze pewien historyk także nazwiskiem Cezar...” i dopiero z trudnością zdołał mu profesor języka polskiego p. Świderski wytłomaczyć, że to jedna i ta sama osoba.

Z tych przykładów poznać można jak praktyczną metodą posługiwał się w pedagogii p. Czesław Ł.

§ 15. Wojny o niepodległość

Po odejściu p. Delaveaux objął katedrę historyi p. Antoni Ż. Paurewicz. Znany ten pedagog również okazywał zachcianki absolutystyczne, a w zapale pamiętał więcej o zoologii, niż o swym przedmiocie tj. historyi, i traktował nas per: woły, osły! – przeto rozpoczęliśmy z nim wojnę, w której bohaterami byli pp. Pol,¹) Kazimierz Laskowski,¹) Klemensiewicz, i Wł. Helcel.

¹) Potem znany dość poeta na warszawskim bruku.

Ci męczennicy przesiadywali jako ofiary dążeń do wolności niemal więcej w więzieniu niż na wolnej nodze. Działo się to na mocy zażaleń p. Z. wnoszonych do instytucji zwanej: „dziennikiem". Był to organ piśmienny, łączący gospodarza z poje-dynczymi belframi, który go zamy-kano w katedrze, zawierający naj-przód spis uczniów klasy, następnie notatki co do nich i profesorów obec-nych, w końcu rubrykę: uwaga. W tej niewinnej ostatniej rubryce wpisywali belfry zażalenia na uczniów, co kto zbroił, a gospodarz na mocy prawa wyjątkowego, od-czytawszy te rubrykowane wydawał wyrok najczęściej na więzienie czyli „kozę". Otóż imiona wyżej podanych bohaterów najczęściej figurowały w owej rubryce: „uwaga" dziennika ./.

Ci więźniowie przesiedzieli jako ofiary
dążeń do wolności niemal więcej w więzieniu niż
na wolnej nodze. Działo się to na mocy
zażaleń p. Z. wnoszonych do instytucji
zwanej: „dziennikiem". Był to organ
piśmienny, łączący gospodarza z poje-
dynczymi belframi, księga zamy-
kana w katedrze, zawierająca naj-
przód spis uczniów klasy, następnie
notatki co do ich i profesorów obec-
ności, w końcu rubrykę: uwaga.
W tej nieszczęśliwej ostatniej rubryce
wpisywali belfry zażalenia na
uczniów, co kto zbroił, a gospodarz
na mocy prawa zwyczajowego, od-
czytawszy te rubrykowane wydawał
wyrok najczęściej na więzienie czyli
„kozę". Otóż imiona wyżej podanych
bohaterów najczęściej figurowały
w ostatniej rubryce: „uwaga" dziennika
*/.

— a właściwie tych imion odsiadywali w środę i sobotę popołudniu oraz w Niedzielę karę z wielkiem współczuciem całej klasy, która zgromadziła przed drzwiami więziennemi (tj. izby szkolnej) i demonstrowała wołając głośno: puście, puście, co jednak żadnego rezultatu nie wywołało — potem się współczujący rozchodzili spokojnie*). Szczególnie rzęsisty Pol dał się we znaki p. Ż. Raz tenże historyk dyktował nazwiska szczytów alpejskich i apenińskich, a że mówił przez nos, nikt dobrze nie <u>napisał</u> nazwiska. Pol ofiarując więc swe usługi dobru publ. i oświadcza gotowość pisania tych nazwisk na tablicy. Zpoczątku spoglądał p. Ż. na tablicę, a zobaczywszy raz i drugi, że dobrze napisał: Vedretta di Marmolada — nie oglądał się więcej. Po jakimś czasie w klasie chichotanie, śmiech — p. Ż. domyśla się czegoś, patrzy na tablicę;

---

*) Zdarzyło się na lekcyi religii naj-szarowej, na której oczywiście my chrześcijanie [illegible], niezadowoleni naumyślnie wytupali swego kaznodzieję, a inicyatorem buntu był uczeń Wetstein. Nauczyciel rel. zapisał więc Wetsteina do dziennika pisząc w uwadze „Wetstein tupa z nogami”. Na drugi dzień dostaliśmy do ręki dziennik, a któryś z nas zmienił literę t na inną w owej zapisce. Co który z profesorów przeczytał zapiskę, zaczynał pękać ze śmiechu, wreszcie ktoś zaniósł dziennik do dyrektora. Jak załatwiono żałobę kaznodziei najszarowego i występek Wetsteina, nie wiemy, ale zapiskę zamazano atramentem zupełnie.

występuje: Żukowiatto, Budretto, Zosiatto
cottletto, osletto – odpędza więc Pala, maże
tablicę z zamaczanem gąbką – a p. Pölfi-
guruje znowu w drzemniku. Gdy raz na
żądanie p. Ż. zamknięto do Kary Las-
kowskiego, brzęknęły gromadnie za p. Ż.
przez całą ulicę Ś. Anny wołając: puście!
puście – a p. Ż. zmykał co żywo w Rynek.

Te nieporozumienia skłoniły
Dyrekcję do usunięcia p. Żakobowskiego
jako widocznie zbyt miękkiego, a na-
znaczenie nam na gospodarza wyżej
opisanego p. Kołeckiego.

§16. <u>Dalsze wojny.</u> Nie pamiętam
co było przyczyną, – zapewne hultaj-
stwo wielu kolegów a zwłaszcza p. Ż. że
zaczęliśmy brać co raz bardziej i przy-
nosić do klasy kulki strzelające –
gałeczki zawinięte w papier (5 za centa)
które rzucone o coś twardego strzelały
dość głośno, jak kapsla.

Taka kanonada tuzinów kulek prze-
raziła p. Ż. wyszedł więc z klasy zawo-
łać Dyrektora na pomoc. Ale nie
zastawszy go powrócił sam, a Klemen-
szewicz zapytał pod nosem: Jakiż
rezultat? P. Ż. oburzony tym cy-
nizmem zerwał się z krzesła i po raz
drugi zerwał stosunki dyplomatycz-
ne wychodząc. Tym razem powrócił z Dy-
rektorem. P. Ż. opowiada mu całą
historyę: Nie mogłem wytrzymać... idę
po pana dyrektora – nie zastałem.
Wracam. A ten impertynent pyta mię
jaki rezultat!? Zgłupiałem!
– Nie może być! ty łamparciska!..
– Formalnie zgłupiałem panie dyrek..
Dyrektor nabeształ nas, a wskaza-
nych jako głównych winowajców
Klemenszewicza i Lachowskiego i
Pola, zasadził do kozy. To był kul-
minacyjny punkt awantury,

co potem nieco złagodniały.

§ 17. Dyktatura Molina. Właśnie wtedy ustąpił despota Kotecki — a Dyrektor w obawie, że pod słabym kierownictwem naszej klasy, niewątpliwie [illegible] nastąpi — postanowił zamianować nad nami dyktatora z nieograniczoną władzą.

Na drugi dzień po awanturze z kulkami strzelającymi wszedł dyrektor do klasy z młodzieńcem wysokim, chudym, z ideą wąsów na górnej wardze i małemi faworytkami.

Gdy dyr. stanął na gradusie i prezentował, młodzieniec ów stał skromnie i gładził rękawem cylinder widocznie zakłopotany i uśmiechnięty, a dyr. prawił do nas mowę tronową:

— Oto jest nowy wasz gospodarz — tu wskazał na zakłopotanego mło-

y.

średnia — Ten pan profesor będzie z nie-
ubłaganą surowością z wami postę-
pował! Ten pan profesor ma nieo-
graniczoną władzę nad wami! Ten
p. prof. może wszystko zrobić, jak nie
będziecie posłuszni; ten p. prof. nau-
czy was być uległymi hampareiska!!!
Po wygłoszeniu tej oracji odszedł
Dyr. a my zostaliśmy sami na sam
z nowym dyktatorem. Pan <u>Malin</u>
— tak się nazywał nowy gospodarz —
właśnie po odbyciu jednorocznej służby
w ck armii zamianowany oficerem,
z początku zaraz nas z góry traktować
wydał edykt, aby nikt nie wchodził
na gradus, locus sacrosanctus, przez-
naczony dla dyktatora i jego wysłańców
tj. profesorów. Upamiętniliśmy
mu profesurę przesuwając mu mimo-
chodem „katedrę" tj. ogromny stół na
gradusie pod samą ścianę, a gdy

karał ją odstawić, podnosiło ją wręcz do góry i niby nie mogąc unieść, puszczali ją nagle — spadając na puste gradnie wydawała (i wzniecając tumany kurzu) huk jak z armaty.

§ 18 Abdykacja. Po niedługich dobrych przeprowadzeniach wyznał Dyktator, że swego już nie odnosi skutków — raz na powrotku lekcji przemówił (nam do serca) po szabrej awanturze: Jestem jeszcze młody... jesteście młodymi uczniami... prędko to będzie dla mnie wspomnieniem, że tyle mi dokuczacie, przez was, będziecie innymi...

Wzruszyła nas ta przemowa, trafiła do naszego serca. Odtąd byliśmy przyjaciółmi i mogę powiedzieć, że wzajemnie szczerze się pokochaliśmy. Był naszym profesorem aż do VIII klasy, uczył wybornie

./.

niemieckiego języka, umiał obudzić w uczniach ambicyę, tak, że każdy nie z obawy złej klasyfikacyi, ale z chęci pokazania, że umie, uczył się i starał jak najwięcej umieć. On pierwszy wprowadził potem nadprogramowo (nieobowiązkowy wówczas) XIX wiek literatury niemieckiej za naszą zgodą w VIII klasie, w program nowelli, tematy do zadań dawał interesujące, po kilka do wyboru, a nawet zostawiał nam wybór tematu — mimo to nikt nie odpisywał, każdy sam sadził się nad drugiego — z czem i jemu było przyjemniej, bo nie czytał kilkudziesięciu elaboratów na ten sam temat. Klasa nasza miała zresztą żyłkę literacką, więc zawsze porównawczo traktowaliśmy literatury obce. To też

po kilku latach klasa nasza miała opinię „że najlepiej umie" niemieckie".

Jako archeologiczne wspomnienie dodaję, że gdy początkowe przemówienia p. Molina zaczynały się stereotypowo od słów: Kolega Ż. (profesor) żalił mi się teraz to i to zrobili — albo Kolega Tymiński skarżył się że ... — przeto Molin nazwany został „Kolegą" i nazwa ta utrzymała się potem aż do VIII klasy [1])

Odtąd stosunki nasze polityczne uspokoiły się i pod kierownictwem „Kolegi" używaliśmy błogiego pokoju.

---

1) Wielce nas bolało że tenże p. Molin w kilkanaście lat potem wdał się w politykę szlachty i skompromitował się jawnie tendencjami germanizacyjnemi.

§ 19. O sławniejszych członkach ówczesnego społeczeństwa klasy i zawiązkach literatury klasowej.

Mówiliśmy już o męczennikach bojowników wolności. Jeden z nich Kazimierz Laskowski[2]) zwany Marburczykiem wsławił się założeniem organu opinii publicznej p.t.: „Ktoś" a natychmiast zjawił się i kontrorgan: p.t. „Coś" redagowany przez Klemensiewicza który rozpoczął kroki literackie „Odą do Sokołowa" która nam się bardzo podobała. Były to krótkotrwałe próby publicystyki. Dłużej trwałym była „Bomba" pod redakcyą Klemensiewicza i Bąkowskiego, która przez 2 lata wychodziła nb. w jednym egzemplarzu, co pewien czas.[1])

---

1) Dlatego jeden ocalały, choć niekompletny numer „Bomby" chowam jako białego kruka bibliograficznego.

2) znany potem poeta i powieściopisarz.

Wychodzi co Poniedziałek

Wychodzi co Poniedziałek

KRAKÓW 12 Czerwca Nr 5

BOMBA.

r. 1874.

Pismo tygodniowe, pod redakcyą pewnego X illustrowane przez pewnego X (sądzę że imiona są znane; można się więc obejść bez publikowania się)

Prenumerata wynosi miesięcznie: 4 arkusze papieru

Rozprawa.

dowodząca, że „Bomba" pochodzi z prostej linii od pierwszej książki drukowanej.

(Rozprawa ta wzięta z rękopismu czytanego na pogrzebie W. Ks. Konstantego).

Bardzo już dawno, bo jeszcze przed upadkiem człowieka, kiedy chaos okropny panował, a ciemności nieoddzielały się od światła, ba! kiedy cztery tarcze Krakowskiego zegaru jedną godzinę wskazywały — wtedy, jak powszechnie wiadomo, Abel zabiwszy Wiatreusa wynalazł proch; ukręciwszy bowiem z kelit zabitego struny, naciągnął je na skorupę żółwią, przezco książki i pisma tak dalece się rozpowszechniły, że a. Titurius legat obawiając się by nie Allobrogowie nie zajęli tyła, kazał na pobliskiej łące nasadzić grochu cukrowego. Trzeba wiedzieć, że ów Titurius miał brata S[illegible]entiusza tak utalentowanego młodzieńca, iż ten dowo=

dząc „Wielką Armadę" cały
dzień mityatkował nad
fortem Kwarantanny;
byłby i Małachową zdobył
ale mu brakło amunicyi.
Otóż ten Sarrentius zgoliwszy
sobie brodę, zasiadł do napi=
sania traktatu „o nieśmier„
telności duszy" piórem wzię=
tym w spadku po Abdelka„
derze; gdy jednak słońce
grzało niemiłosiernie a
Patagończycy 4 okręty z cyfla„
tą zatopili, kazał sobie
podać cennik potraw i
pojechał koleją Lubkowską
do przyjaciela Karmeliona;
że jednak rak w palcu tak
mu, mimo okładów droż=
dżowych, dokuczał że musia„
no go wieść w lektyce, przeto
mijając tunel między Scillą
[illegible], zakazał Caesaro=
wi, którego Kamoens pod
Nawarynem pobił, aby się
do żądań narodu nie przychylił,
niemrającego się w żadnym z eu=
ropejskich alfabetów, nie może
znaleść śladu przejścia Tata=
rów, co łatwo można sobie wy„
tłumaczyć widząc jak wielka
podagra w nosach panowa=
ła. C. Butalejus chcąc jej u=
niknąć, wziąwszy ojca Kopi=
tcona na głowę odprawił z
nim pielgrzymkę do Rio-Ja„
neiro i uprosił tam od Zen„
gishana, aby od tego czasu
barany i krabiowie byli dla
Bomby nieszkodliwymi, przez
to Bank galicyjski upadł, a
cały naród * rozdarty był
(co myślicie że robił?) chodził
boso.
Kto z tego jasnego opowiada„
nia nie dojdzie że w czwora=
ku mieszczą się trzy centy
niech idzie pod Sukiennice=
ce, gdzie za 1½ kr. w. a.
dostanie porcię kiszonych
ogórków, z słodką śmietaną

FHG.—

Panu Baranowi
jako
Prenumeratorowi 4 exempl. Bomby
w
dowód uznania.—

Czy ty Panie Baranie masz to już z natury
Po cudze dobro wyciągać pazury,
Które są osadzone na paluszkach smotołęgnych
A te na haczykowatych rączkach przewie-
lebnych.?—

Nadchodzi Poniedziałek; to już cztery połów
Na Bomby; kieszenie napełnione cię-
żą Ci jak ołów,
Buzia zaczerwieniona jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolni-
ce

Na spoczynek powraca. Lecz niestety
Bomby całkiem nie zniszczysz, a to stą-
d pochodzi
Że ten tygodnik przez wygląd etykiety
Nie w jednym numerze, a w sześciu wycho-
dzi
obortgrany

A. Bardonowski.—



Jak to dobrze, że natura świni nie dała rogów!

Co też sobie myśli

„Niektóry Człowiek"

kładąc się spać –

(Według najmożliwszych przy-
puszczeń opracował Alf)

Ktoś, gdy rzuci okiem (mądrze o-
kiem, nie oczyma) na Kieszenie,
po całodniowych obrotach roz-
paczliwie się kurczące, kto-
wie, czy nie westchnie za oj-
czyzną Wasingtona? –
Nieoceniony kuzyn nic nie my-
śli – cały zajęty handlem
kupując to co nikt nie
sprzedał; i tworzy co się da –
wprawdzie nie wiele – ale cóż
ma poczciwiec robić kiedy
więcej nie może? –
Wieliczka cieszy się że tak
maleńki figiel wypłatała we
wtorek; – ma racyę – on
1-szy więc powinien był zostać
a inni to cymesi powinni
być koniecznie zapisani, że-
byście przecie mać było co to K..!

Posiadacz czterech klepek my-
śli (jeśli takie w ogóle jest dna myśl)
jakiś extrakt głupoty naszwać
czwartym z kolei tygodnikiem.
Co zaś do K. to ten formalnie
pojąć nie może czemu Pan
Bóg w mądrości swej człowieka
stwarzając, nie przeznaczył
mu 36 godzin na dobę odpo-
czynku. –
Starszy bractwa wstrzemięźli-
wości wieczór wprawdzie nic
nie myśli, dla ciężkości gło-
wy – za to rano myśli wie-
le, a bieg tych myśli nie
wiele zbacza od głównego
traktu: Gótz – Jesz

Co do mnie, to gdy
wstając przypomnę sobie
owe śmiałolepne pałuszki
tak intelligentnie śmia-
łające Bomby, to się dzi-
wię zastawszy me rzeczy
nie naruszone przy
końcu.

Przy oglądaniu pomieszkania

— Więc Pan za ten lokal żądasz 400 Złr.? —

— Tak jest — okrągłutko Panie Dobrodzieju —

— A jest do tego stajnia?

— Jakto stajnia? — to pan dobrodziej konie trzyma?

— Nie, tylko chciałbym się dowiedzieć gdzie pan uniesłeś tego osła, co za takie 2 dziury 400 złr zapłaci. —

W klasie

Nauczyciel. Co znaczy: mulier et gallina?

Uczeń. (Po krótkim namyśle): mularz i glina. —

Wiadomości handlowe.

Jest do sprzedania nowiutki frak nadający się jakby ulał na wszelkie figury z ostrokościsto-gotyckiej budowy, wypukło-garbatych pleców, za 12 złr (można ratami spłacić) dziury w które ten frak obfituje nie wchodzą w rachunek — z grzeczności gratis! —

Wiadomości literackie

Donoszą nam z Paryża, iż wyszły z pod prasy, dwa utwory poetyczne z polskiego na francuski język tłomaczone: „Chłopcy i Żaby" i „Dziad i Baba". —

Redakcya przyjmuje i zamieszcza wszelkie inseraty

Nieodpowiedzialny redaktor: ~~[illegible]~~

Słowem klasa przejęta się wynosić nad
inne dziećmi i ambonyami: p. Uminski
urwał się obrażonym o coś przez p. Italko-
kowicza i wyzwał go aż na pojedynek.
Pewnego zimowego poranku umówili się na
Błonie w towarzystwie dwóch sekun-
dantów, z których jeden Ćwik, zwany
przez nas Ćwiokiem, jako mąż
przezorny, nie włożył kul do pistole-
tów — o czem jednak pojedynkujący się
nie wiedzieli. Obaj przeciwnicy dla ku-
rażu podcięli się tak gruntownie, że
ledwo stali na nogach. Strzelił pierw-
szy Uminski, naturalnie przeciw-
nik stoi, a raczej chwieje się na
nogach niezmarnowany. Wtedy Uminski
rozrywa szatę na piersi i woła:
Strzelaj — oto ma pierś! Italkowicz
strzela — a U. pada na ziemię — ale
nie od kuli tylko od trunku. Potem
podali sobie dłonie rycersko i dopiwszy

./.

się do reszty, wyszli ze sprawy z pow-
szechnym aplauzem i chwałą.

§ 20. Majówka. Owego roku wy-
ruszyliśmy na maj, dopiero koło po-
łudnia, (na Bielany) bo rano deszcz padał. Z nie-
pamiętam jakich przyczyn Molicia nie
było, a zastępował go nauczyciel
Kaczor – przysadzisty homo, który
nas cygarami częstował. Gdy baro-
metr poszedł w górę (humorów) zmie-
niliśmy na znak przyjaźni szurdo-
ty kapelusze (nb. słomkowe, do wie-
czora) – a Kaczor, szlachetny, ustą-
pił swego cylindra wyrobionemu na-
szemu Kobedze Królowi, który nawza-
jem użyczył mu swego kapelusza sło-
mianego. XX Kameduli pożyczyli nam
stołu, żebyśmy mieli na czem roz-
łożyć wiktuały. Pod wieczór kilku-

z nas odniosło stół do furty — a kolega Król miał podrapować po łacinie ka- medule (Włochowi). Zadzwoniliśmy, kamedułą wyszedł, a Król nieco pod- pity rozpoczął nienaturalnie cien- kim głosem oracyę: Gratias a- gimus tibi reverendissime... aeterne pater noster qui nobis panem quo- tidianum... omnipotens... Kame- duła uinwalengt sióz i rzektrzy: Ego etiam Tibi gratias ago, za- brał stół i poszedł.

Prof. L.... zapoznał się na tej majówce z fireren od muzyki i ciągle z nim rozmawiał — co dało mi potem temat do jednej ze szkolnych kome- dyj — o czem będzie później mowa.

§ 21. Przejście do wyższego gim- nazyum. W ciągu niższego gimnaz

./.

polegało wielu kolegów tak, że przybyszy do wyższego znaleźliśmy się w bardzo skromnej liczbie – ale Bochnia, nie mająca wyższego gimnazjum, dostarczyła nam licznego zastępu kolonistów, a dla równowagi europejskiej wpisywano przybywających częściowo do oddziału A, częściowo do naszego B, aby liczba uczniów mniej więcej była jednaka.

Uczniowie wyższego gimn. mieli jak w ogólnej części powiedzieliśmy pewne przywileje, np. de non tatanda scura, de non fumando i t. p. nadto przywilej extraordynaryjnej modlitwy do p. Boga. Na jednej z pierwszych lekcyj podyktował nam ją nowy katecheta X. Głębocki. Modlitwy te były o tyle praktyczne, że modl. przed nauką była nieskończenie

sługa — wygnała więc nawałek lekcyj-
po krańce Strobla, niezatrzymującą
nas w drugi opuszczeniu ochronki. Wy-
zyskaliśmy to odpowiednio, dobla-
mując zawsze powoli i z namaszcze-
niem modlitwę przed nauką — co jed-
nak było tylko do pewnej granicy mo-
żliwe, bo gdy raz nadto przeciągnąłem,
to mię zbeształano. Mianowicie na-
pisałem tę modlitwę literami wielki-
mi na cal na 4 arkuszach papieru
i na lekcyi p. Sakołowskiego — który
objął tekę historyi — począłem czy-
tać powoli: Sumus rursus in-
gressi scholam, — doctrinae ac
virtuti operam navaturi itd.
przewracając powoli a z szelestem
arkusze papieru, rozczulałem
się ut simus pii — industrii —
alacres — atque attentissimi

i. t. d.

wznosiłem oczy do nieba modląc się dalej pro imperatore nostro i rzewnie przytłumionym głosem powolnie skończyłem. Trwało to z kwadrans, koledzy po cichu dusili się ze śmiechu – a Sok. zapowiedział, że jeśli jeszcze raz to zrobię, to mnie zamknie do kozy.

Od drugiego półrocza V klasy został gospodarzem Tytus Świdzeński – uczący polskiego języka – zwany Murzą, z powodu długiej czarnej tatarskiej brody – Molin został przy nauce języka niemieckiego.

§ 22 Ks. Wład. Głębocki

nowy katecheta gdyby był żył przed pół tysiącem laty, byłby 99% ludności wysłał jako heretyków. Ponieważ był nam tylko współczesnym, przeto

poświęcano na wpajanie w nas
odrazy do rozmaitych Monote-
letów, Monofizytów, Donatystów,
Nestoryanów, Aryanów i t. p. here-
tyków i niegodziwców ~~którzy się~~
~~de lana caprina~~. Zresztą był
bardzo dobrym i pobłażliwym, dzięki
czemu godzina jego należała do naj-
swobodniejszych i najpiękniejszych.
Biło się, gwizdano sera, puszcz-
czano wróble, jedzono — jak na
pauzie — a katecheta Mantento-
wał się gdy zapytany („wyrwany")
odczytał odpowiedź z książki, która
w jednym egzemplarzu krążyła
po klasie dla potrzeby pytanych.

W między aktach — t. j. między
godzinami nauki i na pauzach
wynaleziono nowe ćwiczenie

Była blacha sprzyjsta półkoliście staczająca pręt, aby zbyt nie palił najbliższych. Chwytało się więc kogoś za barki i rzucało na tę blachę, a uderzony odlatywał jak piłka od sprężystej blachy w ramiona rzucającego. Po pół roku jednak musiała ustać ta zabawa, bo blacha wygięta wskutek od uderzeń straciła elastyczność. Ojtęboćkiego zwano „Klechą" albo „Kapotą".

§ 23. P. Ignacy Gralewski, zwany „dziadkiem" poczciwy siwy sześćdziesięcioletni staruszek, objął katedrę matematyki. Pobłażliwy i nieporadny, poczciwy, kochany — ale nie umiał uczyć i z wyjątkiem tych, którzy sami z zamiłowania uczyli się matematyki, reszta nie zadawała sobie najmniejszego trudu

./.

odpisywała zadania, na pytania
odpowiadała z podpowiedzi — mate-
matyki ani w ząb nie umiała.

Za pomocą matematycznych obli-
czań doszliśmy jednak systemu
w jakim porządku dziadek pyta, kie-
dy wiedział więc, kiedy będzie zapytany.
Jeżeli kto chciał sobie zadać trudu, to
się na ten dzień lekcji nauczył i
zapytany coś nie coś odpowiedział,
jak nie chciał być pytany, to al-
bo nie przyszedł, albo schował się pod
ostatnią ławkę, - starsi wychodzili na
papierosa — co jednak przy 20° Reaum.
w zimie mniej było praktyczne.

Gralewski doprowadził nas do 8
klasy, gdzie dopiero padł na nas
strach, gdy przyszedł nowy belfer J.
i wkrótce wybadał — że nasza
p. t. klasa nie wiele wie więcej
nad 4 główne działania. Ale o tem
/.

potem.

Ci, którzy nie chcieli być pyta-
nymi cofali się do ostatniej ławki
lub pod nię nawet, a gdy dziadek
którego wywołał, odpowiadali inni
że chory lub że go nie ma. Gdy
prałas był w klasie, wołał więc
dziadek: wszystkie tam ci obecni
i nieobecni będą ciszej!

Gdy zadaniu nie można
było dać rady, ten lub ów po-
przewracy byle co szedł do niego
z naiwnem pytaniem: „Prawda
panie profesorze, że tak dobrze?"
— Ale skądże znowu, jakże
to być może, to się nie tak robi,
— i tu pokazał mimo woli dziadek
co trzeba zrobić — a inni potem
odpisywali poprawione tak zadanie.

Gdy ktoś coś bałamucił na tabli-
cy, Dziadek niecierpliwy biegł do nie-
go i poślinowanym palcem mazał to
co złe i poprawiał wołając: „Ale
jakże tężto można!...” Opowiadają,
że przy maturze dyrektor z inspek-
torem szkolnym trzymali go pod
pachy z dwóch stron, aby nie po-
prawiał na tablicy „byków” zdających ma-
turzystów.

§ 24. Wizyta ministra.

Raz zapowiedział nam drżącym
głosem dyrektor – że jutro Jego
Ekscelencya p. minister Stremayr
raczy odwiedzić gimnazyum, i
że za radą p. Molina odwiedzi
przedewszystkiem naszą klasę
jako najbieglejszą w języku nie-

./.

mrechim, i że dyrektor spodziewa się, że będziemy się poważnie zachowywać i starać dobrze sprezentować. Jakoś naraz jednak, gdy ktoś zapukał do drzwi, nastała uroczysta cisza, klamka się ruszyła drzwi się otwarły — a za niemi ujrzeliśmy kilka osobników ludzkich — wśród nich najpierw siwy pan z bokobrodami, po cywilnemu, za nim dyrektor i ktoś z profesorów czy dygnitarzy. Był to najwyższy minister ~~swej~~ naturalnej wielkości — wydawał się wcale jowialno-dobrotliwym człowiekiem. Dyrektor i nauczyciel mieli większego stracha niż my, którzyśmy nie mieli dość pojęcia

aby pojąć wysokość i godność swojej
i – odpowiedzialnej p. ministrowi
jakby mógł nie – mówiły innymi
mrateria przyjemną opowiadanie
ministrowi popularnie den „König
des Polycrates". Po pół godzinie
powiedział sobie minister – a z nim
my potem dowiedzieliśmy się od
Molina, żeśmy się dobrze spisali.

§ 25. Literatura. Dziennik
nasz „Bomba" miał od półtora
czy dwóch lat takie powodzenie, żeś-
my z Klemensowiczem postanowili-
go rozszerzyć, uczynić poważniej-
szym, zaczem założyliśmy „Drugi
tygodnik illustrowany" in folio
Uważmy ten dziennik – którego
wyszło ledwo kilka numerów z

·/·

umieścił w swoich łamach kawałek hist.
powieści M. Stefana „Narodowa spra-
wa" Stan. Kwiatkiewicza tłumacze-
nia: Komedyi Kotzebuego: Prosta droga
najlepsza, Szyllera, Goethego, Körnera,
drobne utwory moje i Klemensiewicza.
Stefan począł pisać dramat hist. „Wey"
ale utwór ten został w teczce autora, albo-
wiem zaniedbanie działu humorystycz-
nego dawnej „Bomby" uczyniło dziennik
mniej poczytnym — upadł więc po paru
numerach. (Jeden posiadam ocalo-
ny). Jakiś czas nie posiadała więc kla-
sa swego organu publicystycznego.
Chciałem na nowo wskrzesić „Bombę"
ale Klemensiewicz zniechęcony porzu-
cił pióro i odmówił współpracownictwa,
inni ograniczali się tylko do zachęty.
Po jakimś czasie trzymając się zasady:
„Jako kto może niechaj publicznej
sprawie dopomoże" założyłem sam „Kro-
nikę szkolną", która ograniczona prze-

ważnie do mego własnego pióra wiodła chuderlawy żywot — o dalszych jej losach powiem w historyi klasy VI.

§ 26 Majówka. Onego czasu zebraliśmy się w kółku plantacyjnem pod gimnazyum zbrojni w laski, torbki, zarzutki papierowy i.t.p. znamiona majówkowe. Naturalnie, jak zwykle podczas majówki — deszcz zaczął padać. Deputacya nasza złapała p. Malinię na ABC w pięknych liliowych pantalonach i błyszczącym cylindrze i nakłoniła go aby szedł z nami na majówkę. P. Malini patrząc z żalem na liliowe spodnie zdecydował się poświęcić dobra materyalne duchowym i poszedł z nami przez Łobzów, Błonie, Bronowice, rowy, góry i lasy i tp. rzeczy zachwalane w Laudes vitae rusticae do Zabierzowa. Tam zastaliśmy komitet majówkowy czyli tak zwanych „gospodarzy", którzy zbudowali

J.

przybytek z galerii. Ledwie rozgościliśmy się między chlebami, kiełbasami, szynką i piwem, otworzyły się wszystkie śluzy niebieskie a deszcz lunął jak z cebra. Rozwarto parasole w przybytku, a autor tej kroniki miał to szczęście, że wprawdzie jeden parasol ochronił go od zewnątrz, ale za to drugi zapuścił mu swój róg za kołnierz i stamtąd puścił strumyczek za kołnierz, którym woda płynęła na jego (mowa o sobie pisać przecie 3 os. j.) plecy, znajdując odpływ przez rękawy i nogawki. Cy-linder Matiuka pływał na półmisku zapomniany, a około niego pływały ciastka jak łódki koło fregaty na morzu. Pocieszaliśmy się w tem przykrem położeniu, wznosząc wiwaty z całego gardła na cześć Matiuka. — Ale wreszcie zmieniła się aura, wyjrzało słońce, zrobiła się cudna pogoda — i choć było nieco mokro i wilgotno

bawiliśmy się w pytkę, katkę i wyrzkę, żandarmów i t.d. a o zachodzie słońca wyszliśmy na szczyt skały. Kmity przypatrując się posępnym widokom, a kolega Jańcio Mazurski „Tołousty" popisał się posępnym frazesem „że gdy będzie spodziewał się śmierci, tu się przynieść każe i patrząc z góry na brylantowe krople rosy fal łąk szumiących nad miłośnie szumiącym warkoczem srebrnopianistej Rudawy duch jego opuści ziemskie mieszkanie".

Nazajutrz widziano w obuwie p. Molina sterczące się jakieś brudno-liliowe fragmenty dolnego ubrania męskiego, jednak już nigdy nie widziano na p. Molinie liliowych spodni. Cylindra losy nie są nam znane...

Okres III

Państwo despotyczne od VI do VIII klasy

§ 27. Przewrót polityczny.

W ciągu wakacyj po V klasie krążyły głuche wieści, że z braku ~~klas~~ sal w gimnazyum oba oddziały VI klasy mają być razem połą-czone. W przededniu „uroczystego wezwania Ducha Św. w kościele S. Anny" na początku roku szkolnego, autora tej kroniki trapiły [illegible], wielu twierdzi że na niebie dziwne pokazywały się znaki, a na przykładku do-bry nadziei miał świecić wielka kometa. Następnego dnia po wezwaniu Ducha S. oznaj-mił nam Dyrektor o dokonanym fakcie po-łączenia oddziałów!

Jednakże fakt niniejszy stanowi ważny, de-cydujący ~~o~~ rozpoczęcie nowego okresu w dzie-jach naszej klasy — jak to niżej zaraz zoba-czymy — okresu władzy najpierw despo-tycznej a następnie absolutnej.

Połączenie nas z oddziałem A równorzędnej

/.

klasy, która odtąd jeden naród z nami połączony stanowiła, urosła i stanowiła potem. Fakt ten wymagałby nakreślenia dziejów pierwotniejszych i połączonego z nami oddziału. — Gdy do tego brak nam atoli wyczerpujących wiarogodnych źródeł, wspomnimy o tym drugim oddziale tyle, ile to jest potrzebnem dla zrozumienia pierwotniejszych dziejów obu połączonych narodów, tembardziej, że połączony oddział zlawszy się z nami w jedną całość uległ zupełnej asymilacji przyjął naszą kulturę, oświatę i cywilizację, nie okazując prawie ani śladu samodzielnego z własnej przeszłości wynikającego rozwoju.

Otóż oddział ów zostawał od pierwszej klasy pod despotycznym rządem p. Wojciecha R. — a przyzwyczajony z długiej niewoli, nieznający nigdy wolności, pozbawił się wszelkich aspiracyj politycznych (wolnościowych).

Atoli, gdy nas oddano razem z tym oddziałem pod rządy pana R. — gdy my nieprzyzwyczajeni do despocyi, chcieliśmy się z pod niego wybić, nie znaleźliśmy podpory w członkach dawnego oddziału pierwszego, nie zdołaliśmy otwarcie wybić się z pod despocyi i tylko drogą konspiracyi i podstępów, co uchodziło za nihilizm w oczach pana R. upuszczaliśmy nadmiar niezadowolenia. Jednak nie sama zmiana rządu wpłynęła tu na stworzenie nowego okresu naszej historyi, lecz zmiana samego społeczeństwa spowodowana połączeniem się dwóch oddziałów, przez co siły społeczne bądź co bądź pomnożone zostały, praca społeczna poczęła rozciągać się na coraz szersze

-/-

zadania i mimo ucisku szkoła
rozwijała się ciągle dążąc naprzód.

§ 28 <u>P. Wojciech</u> R. zwany „Wójta-
siem" lub „przyjacielem", nasz pan
i władca, wysoki, chudy, przygarbiony,
nogi w kolanach zgięte, chodził ko-
zim krokiem po klasie, czyhając
aby z nienacka zagadnąć każdego
podejrzanego o nieuwagę, czyta-
nie książki pod ławką — a gdy za-
pytany się zająknął — „Siedź przy-
jacielu, masz siódemkę!" Krzyk-
nął i wpisywał wyrok do kata-
logu (grubego folianta) a później
dodawał: No, panie, to on mi
jeszcze panie mówi panie że on
panie umie panie! Siedź przy-
jacielu! Siedź!

Potrzebno chwalić się przed innymi

./.

profesorami, że na jego godzinie mu-
chę słychać, jak leci w powietrzu. Przeczy-
wiście cicho było, ale dzięki wspólnej
konspiracji, wzorowo zorganizowanej
instytucji „podpowiadania" bawiliśmy
się jako tako — bo jeden jak zwykle na
straży czuwał nad krokami „przyjacie-
la", ostrzegał o niebezpieczeństwie zbliża-
jącego się do ławki, przy zapytaniu przy-
chodził z pomocą, pokazując zapy-
tanemu miejsce, które się właśnie
tłumaczy, podsuwając preparację,
podpowiadając po cichu i t. d.
„Przyjaciel" wyrobił nas na tęgich
tajemników i greków — choć z tej
greczyzny nic nam dzisiaj nie
zostało w głowie, mordował me-
trami, aorystami, wyjątkami
i t. p. tak, że jego godzina należała
do najgorszych tortur. Zadania zada-

wał w sobotę, a kazał je w urzędzie
rano oddawać; w ten sposób krótkości
czasu musiała stać na przeszkodzie od pięc-
wania, a zmuszał także przychodzić
do Kosmóba w urzędzie. Zamiast
rekreacyi więc musieliśmy w sobotę
wspólne posiedzenia u mnie i u
innych kolegów, na których fabry-
kowano zadania.

§ 29 Wybory. Połączenie obu od-
działów polegało nie tylko na unii
osobistej, ale i parlamentarnej – o ile
w tych czasach można było o
czemś parlamentarnem mówić – mia-
nowicie mogono wspólnie obierać kwe-
stora tj. urzędnika honorowego, którego
obowiązkiem było zbierać składki na
„pomoc koleżeńską". Kandydowali o
tę godność p. Jan Król, ekskwestor

/.

naszego oddziału, zwany „Królem Janem
bez ziemi" (niektórzy dodawali: i bez
głowy — ale to potwarz złośliwa i nie-
godna wiary, bo wyrwał w klasie powa-
gi wyższej niż niejeden król z ziemią)
Kontrkandydatem był znowu ekskwe-
stor oddziału pierwszego p. Aleksander
Gawroński, krótko Gawronem zwany.
Większość oświadczała się za ostatnim,
gdyż był to mąż energiczny wielkiego
hartu ducha i dłoni, jakkolwiek czło-
nek niegdyś oddziału a, ale wykształ-
cony na wzorach oddziału b tj. naszego.
Ale nasza miłość własna pragnęła,
aby nasz kandydat przeszedł. Walka
wyborcza nie obeszła się bez agitacyj.
Mianowicie za Gawronem agitował
głównie demagog oddziału a. Edmund
Puchacki, zwany Puchaczą. Charakter

./.

tego ostatniego dobitnie naszkicował Bo-
kowski w swej komedyi „Powrót Zemsty
z konceptami Sir Sebastyana Puchały" 1)
z której przytaczamy tu jedną charakter-
styczną scenę:

Rzecz dzieje się w kręgielni za miastem.
Puchalski grając mówi: E! co wy wszyscy
umiecie! jakem zeszłej niedzieli grał z
kilku żołnierzami, mogę powiedzieć woj-
skowymi, a było pełno oficerów, pułkow-
ników... feldfebli, sami gracze, a i takich
ograłem. Jak palnę kulą — od razu
gruch na ziemię z dziewięć kręgli!
Jeden z grających: Wszak ich tylko dziewięć.
Puchalski: (nie zważając na zarzut) Albo
i w szachy. Grałem wczoraj z jednym
szachistą co się zowie, biorę mu w parę
cugami jedną wieżę, drugą wieżę, trzecią
wieżę...
Jeden z grając: (śmiejąc się) Czwartą wieżę!

/.

Pinkaski (nie zważając) wszystkie wieże
— raz, dwa — i mat! Daj mi
Królowę „for", a musisz być do-
brym graczem, żebyś wygrał!
Jeden z graczy. Tak, tak — ty dajesz po trzy
maty w jednej partyi!
Sądzę że ta scena maluje dyktatora,
nie p. Pinkatę.

Nasza klasa nie sporo brała u-
działu w agitacyi, bo lubili Gawrona,
tylko szanowny wychowawca klasy p. Michał
Stefan, zwany „ojcem błagą", „ojcem bi-
bą", „ojcem bitą", „Pantagruelem", „Seneką",
wreszcie „Migruelem", w miarę jak się
odznaczył w pewnym kierunku, cho-
dził podczas wyborów z zamyśloną
miną, podchodził do Króla Jana i kle-
pał go po ramieniu protekcyo-
nalnie mówił: Spuść się na mnie,
wszystko będzie dobrze!

Lecz nie wszystko poszło dobrze po jego

./.

myśli, gdyż Garson wystawiając zo-
stał wstrzymaniem kilku głosów — o które
to kilka głosów przyszło do kłótni mię-
dzy p. Pirbatą a p. Stefanem, gdyż za-
dawali sobie wzajemnie dubeltowe
krędę — do unieważnienia jednak wy-
boru nie przyszło.

§ 30. Pan Tomasz G. — był także
ciekawą osobistością naszej klasy
obfitującej w rozmaite charaktery.
Pan Tomasz G. był słynnym finan-
sistą. Grywał z powodzeniem w
kręgle i karty z niestudentami i
używał tych dochodów na pożyczki
(kolegom, bez procentu — nie był to
lichwiarz żaden tylko uczciwie odej-
rały przedniejszymi [illegible]). W
klasie także czasem ze starszymi
grywał i trzymał w ostatniej ławce
bank zwany „Tereska" (dla czego,
nie wiem). W nauce był przeciętnie

/.

średnim wzrostem, ale słynął do-
datnio w gramatyce polskiej i ła-
cińskiej. Trudnił się dostawą rożków
i precelków dla klasy naszej, z powo-
du czego zwano go „Rogalenlieferant."
Działo się to w ten sposób, że przed go-
dziną 10te rano odzywał się na-
gle w klasie strzał, wielce drażniący
pp. profesorów. Strzał ten fabryko-
wali pp. Helcel i Bernadzikowski
zwany szymkiem w ten sposób, że ro-
bili kopertę z grubego papieru,
wydymali ją, kładli na dłoni a dru-
gą dłonią nagle trzaskali w kopertę.
Ten strzał był znakiem, że kto
chce precelka albo rogala od Bartla
ma postać gotówkę do p. Tomasza spo-
czem tenże wychodził spełnić zlecenie.
Powtórny strzał oznajmiał nadejście
[illegible] z rogalami. Raz zbro-
ił coś G.t i brevi manu wyrzucono go

za drzwi, a udało się to tak prędko,
że zaraz drugi raz powtórzono z po-
wodzeniem. Powtórzenie to zaczęło
do powtarzania, od czasu do czasu
się wołał ktoś dla hecy: „Za
drzwi z G.!" — a w tej chwili chwy-
tało go kilkanaście rąk za ręce,
nogi, głowę, plecy etc. i wyniosło
za drzwi jak pióro — a zabawa ta pow-
tarzała się długi czas, póki innej
nie wynaleziono.

§ 31. ~~P.~~ Adolf L. Onego czasu
zdarzyło się, że pan nasz i władca R.
wsadził kilku słuchaczy zwykłe wykła-
dów do kozy. Wieść publiczna gło-
siła, że przyczyną tego była denun-
cyacya innego profesora, który miał
winnych widzieć palących papiero-
sy czy coś podobnego. Idąc za gło-
sem tej opinii napisał Bez-

/.

kowski komedyę pod tytułem
„Trafiła kosa na kamień". ~~Kto-~~
w której napiętnował szkolne
szpiclowskie postępowanie donosi-
ciela. Komedya ta doczekała się
wielkiego uznania u kolegów, a
dowodem tego następująca okolicz-
ność: Któryś z profesorów nie przy-
szedł na godzinę. Gutowski zapro-
ponował kolegom, że im odczyta
moją komedyę i czytał z katedry
a klasa słuchała z takiem zajęciem
że p. R. przysłany na zastępstwo zaj-
rzawszy do klasy i widząc wszystkich
cicho siedzących w ławkach (a było [illegible] rozwrzeszczanych), myślał
że już jest inny profesor na za-
stępstwie i przeszedł. Uważam to za
wielki mój tryumf, że koledzy wo-
leli wysłuchać mej komedji, niż
zrobić sobie jednogodzinną pauzę.

Treść tej komedyi była następująca *):
Akt I dzieje się w mieszkaniu owego profesora Demonicela, tenże chodzi po pokoju i wygłasza słynny monolog:
„Być, albo nie być? Jak po raz ósmy zostanę przy egzaminie profesorskim... pot-rza!... gotowi mię napędzić! I tak mam już pisemne memoriała z Rady Szkolnej... Wartałoby się ożenić jak najprędzej, ale bo-gato! Hm. (ogląda się w lustrze) człowiek niczego. niemłody – prawda, ale stateczny... doświadczony.. Tobi wąs! (Do swego służącego Maćka) Cóż ty na to Maciek? Gdybym się tak ożenił?
Maciek: Hm! Stróż się ożenił na dole w kamienicy, to go teraz żona co-dzień wali jak kieliszek tylko wypije.
Pan prof.: Eh bajesz, bajesz!
/.

*) Mam ją w rękopisie całą, ale nie warto przytaczać w całości. P. A.

Maciek Pan, mówisz nowiny nam na długi!..!

Prof Et! czasami!

Mac Żydzi het po drodze tupią!

Prof. Ah! co powiesz wszystko głu-pio – idźno otwórz, ktoś puka.

Następuje wśród dwa ekspozycji ko-medyi: Jeden z chcących się zemścić studentów wchodzi przebrany jako Kapucyn, przynosi ze sobą drugi ha-bit kapucyński i donosi profesorowi, że studenci knują straszny spisek na ulicy wąskiej pod Kapucynami (studenckiej), że należy ratować gimnazyum i iść w przebraniu podsłuchać spis-kowców.

Akt II odbywa się na owej uliczce studenci zbiegu zaczajeni czekają wnet to pokaże się prof. przebrany za Kapucyna.

Recytowanie wchodzi prof. przebrany

i rozpoczyna monologiem: Samot-
ny! cóż tu po ludziach – ma się
rozumieć takich jak ja? Boże! to
miejsce! Wielki Boże! tak, to tu – nie
mylę się, to tu oberwałem po grzbiecie
raz od studentów! Niewdzięczny prze-
szłości obrazie precz! precz! (wpada
w zamyślenie i rozpacz) Sam – opu-
szczony... każdy się nawet na mnie
pogniewał od czasu jak od niego
futro w karty wygrałem – nawet
ten gałgan firer od muzyki*), com
mu rękę podawał, ja profesor tam
przy Akademii – od czasu jak feld-
feblem został, udaje że mnie nie zna!
Wielki mi muzyk co w bęben bije, Jak
byłem młody, tom także bębnił na Bo-
że ciało! – Ale gdzież są spiskowcy?

*) Na jednej z majówek prof. poznał się
z firerem od muzyki i rozczulony trunkiem
fraternizował z nim serdecznie i rękę
mu podawał. P. A.

Pst – stygę krobi.
Wchodzą studenci i proszą przebranego aby nowocześnie pośród wysłuchać spo-
wiedzi umierającego rzekomo kolegi.
Prof. w trudnej Nałożyć albo odkryć się
i dostać lanie, albo brnąć dalej – po dłu-
gim oporze wziąty pod pachę, idzie do u-
mierającego z pośpiechu.
W akcie III Spiskowcie student się
daje chorego i następuje scena (która
cieszyła się niesłychanem uznaniem)
spowiedzi, t. j. prof. musi połknąć przykrą
pigułkę jak rzekomo umierający zwie-
rza mu, że jego koledzy chcą pierwszego To-
tra, rzepicla, profesora nazwiskiem (t.j.
jego samego) obić. Błaga spowiednika aby
ostrzegł prof. Ten przyrzeka. Następnie
umierający żegna się z kolegami, daje
je im na pamiątkę rozmaite drobiaz-
gi – ale nie owe maleńkie pod poduszką
pistolety z cennie wyrobioną rękojeścią
przeznaczonego najbliższem przyjacielowi;
a który dopiero miał być pod poduszkę.

Szukają wszędzie — nareszcie jednego znaj-
dują go w kościele w habicie spowiednika
(wielkanocny tam już antecypowano przez
spółkowca) Oburzeni rzucają się na
niegodziwego kapucyna, kaptur mu
spada, poznają prof. przebranego i mają
należyty powód do spełnienia zemsty
na grzbiecie znienawidzonego.

Komedya ta miała także powodze-
nie, że ją zbiorowo przepisano. Od
czasu Księdza Bohomolca podobno
nie wiele napisano komedyj, gdzieby
sami uczniowie wystawiali.

Prof. o którym mowa tak zo-
stał (słusznie czy niesłusznie
nie wiem) scharakteryzowany przez
Kolegę Gutowskiego w „Zagadkach"*)

Godziny długich wieczorów
Przepędzać lubi w browarze,
/

*) O tych będzie mowa niżej.

Albo też na trotuarze
Niedźwiedziem zda się być z borów
Kiedy się w futro owinie,
Lecz mimo takich pozorów
Nie wydały w świat go lasy,
Bo ostatnie też powszechnie słynie
Jako szpicel preorszej klasy.

§ 32 „Dyscyplina." Z początkiem II klasy wychodziła dalej niedołęczona „Kronika szkolna" Bo- Każdego, lecz skutkiem ogólnego upadku ducha pod tyranią pana R. zaprzestała wychodzić. Pogrążony w niewoli naród nie mógł nie działać, tem bardziej więc myślał i potrzebował wylać swe uczucia i myśli: wśród takich okoliczności powstała Komedja pisana przez ... Powoli uznano potrzebę organu publicznego którego brak dotkliwie odczuwano.

Grono dobrze myślących obywateli klasy nakłoniło więc Bełkowskiego aby na nowo objął redakcyę pisma przyrzekając wszechstronną pomoc literacką. Tak powstała: „Dyscyplina" z godłem Fredry:

„Swawolność swawolności wrogiem
gdy wszystkich chłosta
Często i tam podoła, gdzie rozum
nie sprosta."

Pismo to zdobyło się prawdziwą sympatyę klasy. Sprawiono dyktowaną kompaturkę w której co sobotę wkładano nowy numer i tak krążył aż do nadchodzącej soboty. Głucha wieść krążyła o istnieniu „Dyscypliny" po całem gimnazyum, ale solidarność była

/.

taka, że nikt nie zdradził i ani Dy-
rektor ani nasz tyran do rąk jej
nie dostali – coby niechybnie po-
ciągnęło za sobą jeżeli nie napę-
dzenie to kozę redaktora. Pomimo pro-
tekcyą czasem pozwalaliśmy przeczy-
tać numer profesorom Ziembie i
Śniadeckiemu, którzy mieli opinią
trzymania języka za zębami.

Dyscyplina miała stampilię
tytułową drzeworytową wykonaną
przez Szymka Bernadzikowskiego
jak ją tu odbijam z oryginału:

KRAKOW DNIA........... Nr........ ROK 187 .
DYSCYPLINA
CZASOPISMO HUMORYSTYCZNE ILLUSTROWANE.

KRAKOW DNIA........... Nr........ ROK 187 .
DYSCYPLINA
CZASOPISMO HUMORYSTYCZNE ILLUSTROWANE.

KRAKOW DNIA 15/11 ...... Nr VI .... ROK 1877.

DYSCYPLINA

CZASOPISMO HUMORYSTYCZNE ILLUSTROWANE.

Nr VI „Dyscypliny" zaginął w podróży
po kieszeniach czytelników:
Zawierał: „Polowanie po kościele",
„Kronikę i telegramy" „Faciaty z czytel.
ni" ogłoszenie względem hurtownej
dostawy preparacyj pmer P. M. Ste-
fana. „Sér" (illustr.) i Hans
Sachsens" poetische Sendung" (illustr.).

Od Redakcyi.

unieśmiertelniała kronikę trzęsącą, ilu-
stracje Babowskiego, wiersze Gutow-
skiego, okolicznościowe odłyskuty
Babowskiego itd. O dalszych losach Dy-
scypliny powiemy później — chociaż
tępiony przez rząd niemiecki, lite-
ratura rozwijała się pomyślnie, bo
w niej składał naród klasowy swych
myśli przędzę i swych serc kwiaty.*)

§ 33. Prof. L. Ćwikl. udzielał
greki. Gdy w „Dyscyplinie" począł Gu-
towski umieszczać rysowane zagad-
ki, scharakteryzował go następu-
jąco:

Gęsta broda, okulary,
Istny rzekłbyś Jowisz stary,
Lecz w ręku ma błyskawice,
— Gdyż je Franklin zniósł do zera, —

*) Kilkanaście numerów Dyscypliny
przechowuję jako pamiątkę młodzień-
czego najczystszego humoru. P. A.

Grubego dzierżą Homera
I często nasrożą lice.
Najwięcej srożył się na krzyk lub
kurz z gazetami po klasie, w kwe-
styach Homera lub Dr Curtiusa
można go było złościć byle czem, a
często śmiała byle jaka odpowiedź
rozbrajała odrazu. Np. pyta raz
Bałkowskiego, dlaczego pisze pre-
paracyę ołówkiem? (Odpisał ją
w klasie na prędce od Zarańca) Za-
wstydzony odpowiedział: „Żeby
pan prof. nie myślał, żem odpisał!"
co p. Sznera rozbroiło w zupełności.
— A cóż? pyta drugiego, ty także
ołówkiem piszesz?
— Proszę p. prof. mnie atrament
w oczy razi.
— Ostatecznie zadanie złeś zrobił,
mniej niedbale;
— Bom nie mógł dojrzeć — zgadł
tak niewyraźnie pisze!

— A ty — czy ty zbiór preparacyj*)
tak systematycznie czy tylko tak
przy sposobności?
— O! panie prof. ja zawsze system-
matycznie odpisuję!
— Taki gruby błąd zrobiłeś w za-
daniu", mówi raz S. do Helcla
— O! panie prof. to tylko taki
drukfeler.

Synów Izraela nie lubił i
tym także odpowiedzi nie warty — mu-
sieli się uczyć i pisać porządnie pre-
paracyę.

Zresztą klasa nie wiele umiała
pod nauką S. greki — i mieliśmy
z początku wielką trudność gdyśmy
oddani zostali panu R. także co do
greki

---

*) Idyotyczny obyczaj dawny zmuszający ucznia do tracenia codzień przynajmniej godziny czasu na szukanie w słowniku, którego lepiej mógł spożytkować ucząc się jej, gdyby mu ją do-starczono drukowaną, bądź dla mnie ./.

§ 34 Majówkę zapowiedział nam pewnego dnia adjunkt dyrektora na dzień następny. Naturalnie następnego dnia padał deszcz, ale komisya meteorologiczna złożona z dyrektora i profesorów przyrody p. Maya i Klębka w towarzystwie kilku baro- termo- hygrometrów patrzyła długo w niebiosy zasięgnęła oświadczenia chmurami i orzekła, że pogoda będzie. Choćby nie była, bylibyśmy poszli, bośmy już doczekać się nie mogli, więc ruszyliśmy klasami, gdzie która sobie obmyśliła — my, zaszczyceni ~~obecnością~~ obecnością pp R. i Molina, otwarłszy parasole, traiecta Vistula, poszliśmy do Tyńca, o-

niezmożni — dlatego jako redaktor dyscypliny wymówiłem sobie, że odtąd koledzy co dzień inny ołówkiem lub piórem na prędce musiał mi preparacyę wypełnić, a w czasie pauzy lub pod ławką nauczyłem się jej na pamięć. —

szukając zapowiedzianej pogody.
Wszyscy wytrzeszczali swe „nie=
bezpieczne talizmany deszczu" ku nie=
biosom, czy p. Bóg nie zawsze z
nami przymierza jak z Noem,
ale deszcz jak lał, tak lał. P. R.
chciał wracać — i miał rację — a
mianowicie odłożyć — ale byliśmy
już zdecydowani, część poszła
rychlejszym krokiem naprzód,
więc p. R-ski musiał, nie chcąc
nas samych zostawić, [illegible].
Mianowicie tę opiewał potem Gutowski
w „Pieśni o butach" (którą od=
różnić należy od podobniejszej pieśni
Bąkowskiego umieszczonej już prze=
wej w pierwszych numerach „Dyscy=
pliny", dużo słabszej, co sam jako
jej autor przyznać muszę z wrodzoną
sprawiedliwością i bezstronnością.)

/.

„Ktoś ochoczo palnie mówkę,
Układają więc majówkę
Z nadzieją patrzą w niebiosy,
Przez noc ważą się ich losy,
A nad ranem coś pochmurno,
Lecz fantazją mają górną,
Więc czekają już gotowi
Co też p. Dyrektor powie?
Każdy z trwogą patrzy ~~[illegible]~~ chodzi
I przekleństwa rzucić słowo
A w tem z wieży dzwon uderzy
Tak ponuro i grobowo!
Zegar bije: już dziewiąta!
Idzie ten i ów do kąta
I z torbeczki coś zajada,
Tamten do chmur ręce składa,
Lecz deszcz — jak padał, tak pada!
I wcale się nie pogodzi,
Tak nadzieja często zwodzi."

Tak szliśmy pod osłoną par

zaroli, pytamy po drodze chłopaka owczego: A daleko jeszcze do Tyńca?
— O nie! malutki kawałek, będzie jeszcze dobra mila!

Wstąpiliśmy do karczmy, pokrzepić wódką zziębnięte żołądki — widzimy przez okno, że idzie tylna straż — novissimum agmen — złożona z pana R. i kilku wierniejszych uczniów jego, którzy go się nie zaparli i nie poszli naprzód z Malinem lub z nami. Trzeba wiedzieć — że wstąpienie do karczmy było zbrodnią wołającą ~~o wyp~~ do dyrektora o wydalenie z gimnazyum — więc przycupnęliśmy pod oknem — przeszedł p. R — nie spostrzegł nas, byliśmy ocaleni.

Ruszyliśmy znowu w drogę. Przed nami mgliste widnokręgi — widać przed nami po zalanej wodą drodze

/.

snujące się postacie, ten okryty bur-
nusem, ten parasolem, ten zarzutką.
Jak dalеko, jak szeroko, niezliczone
wodzą oko – Tyńca nie widać i nie wi-
dać! Wreszcie, nam którzy jak gęś-
cy zmokli, zgłodniali, przerażeni
dotarliśmy do Tyńca, zmalarstwy
tam jeszcze na dole jedną całą przy-
krytą sklepieniem salę z mar-
murowymi otworami w której
przynajmniej od deszczu byliśmy
zasłonięci. Ale z gospodarzy na-
szych ani śladu! Pewnie przed na-
mi wyjechali z wiktuałami! Jak
archeolodzy szukamy ich śladów: byli
li! są ich podpisy na ścianach.

Oto na pomniku
Jakieś nieśmiertelne niezmazane imię
Wędrownik skreślił na znak że był w Tyńcu
A ty możesz wiedzieć o tym wędrowniku!

./.

Czy drżący szereg po ściegiem drzewami
Rył go powoli jak nagrobek w skale?
Czy go odchodząc uronił niedbale
Jako samotną łzę przy pożegnaniu?

Lecz napisy: Gzołek, Buszkowski,
Prostak nie należyły nas wcześniej,
prócz, że tu byli. Wysłaliśmy więc
poselstwo do tam, gdzie - jak nas
pewien chłopek zapewniał - pojechali
jacyś panicze. Rzeczywiście posłowie
znaleźli gospodarzy leżących w lesie
pod stołem (pościerane), który im za baldachim
przed deszczem służył. Czekali oni na
nas w lesie, jak my na nich w mieś-
cie.

W nieurzędnej części przy Kościele
znaleźliśmy gościnę w paru obszer-
nych pokojach u mieszkającego tam
zegarmistrza.

Dalszy pobyt opisywał Gutowski:

/.

„Pieśni o butach": *)

„Spoczynek jest słodką rzeczą,
Więc na krzywych stołkach siedli
Bułki, szynki i chleb jedli
I tak słabe siły leczą.
Bo też kawał zbiegli drogi.
Opuścili szkolne progi
I wśród deszczu błota chłodu
Poszli w drogę, bo za młodu
Na te głupstwa się nie zważa
A przeszkoda śmiałość wraża,
Aż po trudach i po znojach
Odpoczęli tu w pokojach

---

*) Klasa nasza miała zamiłowanie [illegible] więc odczuła „Lied von der Glocke" Szyllera tak, że każdy prawie na pamięć ją umiał, wielu próbowało ją tłumaczyć wreszcie, a ja i Gutowski napisaliśmy trawestację pod tytułem „Pieśni o butach" w których podobnie do Szyllera są zwrotki dotyczące pracy przeplecione uwagami w pewnym związku z przedmiotem pracy będącemi.

P. A.

Lecz mówił darmo się tracili,
Tylko, jak się pożywili,
Zaraz na pierwsze wezwanie
Do mazura każdy stanie.
Skrzypki do rąk wziął generał 1)
Pół godziny dźwięki zbierał
Aż gdy je połączył w całości
Stworzył walce doskonałości
Wynalazł wałc, mazury
Choć w niejednych butelkach dziury.
Wszystko niczem, ale w miarę
Jak przysłowie mówi stare
Szanowali go przodkowie
Doskonałe to przysłowie,
Lecz niestety tej nauki
Nie trzymają się dziś wnuki,
Skąd też w Tyńcu na majówce
Nie w jednej szumiało główce:
Jeden biorąc assumpt z Tyńca 2)

1) Tak nazywano Gęślaka
2) Tj. wspomnień wojennych jego.

Marsową bawią się sztuką
Kijami się niecnie tłuką,
Aż nie jeden zebrał sińca,
Nie zbywało na kadrylu
Polkach, walcach i mazurach,
Kotkach, pytkach, śpiewnych chórach,
Że w dobrem zabaw tylu
Niejeden się aż utrudził
I zabawił lub znudził,
a gdy przyszło iść do domu
Wydało się, że nikomu
Na kurażu nie zbywało:
Niejeden w całej istocie
Odbił swój portret na błocie 1)

Wieczorem po długich pertraktacyach ugodziliśmy galar, który miał nas sprawnie wieźć do Krakowa. Deszcz nieco ustał, a my paląc pochodnie wśród śpiewu zbliżaliśmy się do Krakowa.

1) Szczery czytelnik miech upadłych nie posądza o nic niegodnego np. opilstwo — upadki miały miejsce na pochyłym oślizłym przez deszcz brzegu. P. A.

Daję głos wieszczowi Gutowskiemu:

Słychać tam na Wawle gwary
Jakiś galar środkiem płynie...
W dziwnejże porze już rozumiany –
Już się zbliża – wnet zawinie,
Zwolna płynie z szumem, godnie,
Zapalone skrzą pochodnie
Płomieni z dymem pnie w niebiosy
Cudnej pieśni słychać głosy
A przez długie rok taniutki,
Lśni flasza, trzepią druciki
I choć deszcz więc z góry rosi
Zapałem serca podnosi,
Więc im wcale nie przeszkadza
Rozpalone tylko twarze
W zbytnich uczuć silnym żarze
Lekkim chłodem rozpogadza.
Łódź Kościuszki Kopiec mija
Coraz bliżej – już zawija
Przy pochodni jasnym blasku
Podchmielone znać oblicza
Ten się w długi szal obwija
Tamten znowu *) głowy zlicza

*) tj. profesor R. ./.

Rzeszta w błocie lub na piasku
Roi się w gwarze ~~tak~~ i wrzasku;"
Każdy tęskni za noclegiem
Idąc spiesznie dalej brzegiem
Brakło światła, już pochodni
Zabłoceni, zziębli, głodni
Tu i owdzie błędnie chodzą,
Wtem jęk ozwie się rozpaczy:
Każdy pyta, co to znaczy?
Czy tam piorun kogo ubił?
Ach nie, tylkom buta zgubił!
Szuka, szuka, nie znajduje
Już mu rozpacz serce truje
Na grób smutny swego mienia
Bolesne rzuca spojrzenia,
Czarne kruki z grozą kraczą,
Chmury deszczem rzewnym płaczą.
Wszyscy z żalu stoją niemi,
Wtem: jest! Wyjmuje, podniósł z ziemi,
Z tryumfem rzuca spojrzenia:
Już mu nie brak jego mienia!

Porwał zatem wszystkich
Zgasły światła — oni zniknęli
Pośród murów w ciemnej nocy."

Zapomniał poeta opisać tu jeden jeszcze tragiczny wypadek: gdyśmy brnęli w błocie Zwierzyńcakim, szukając drogi w ciemności, po wypaleniu już pochodni, stanęliśmy nagle nad jakąś katurią, której nikt nie miał odwagi przekroczyć. Ciemno było jak w duszy grzesznego człowieka, na przodzie stał prof. R. i kolega Nowalecki. Ten, nie poznając z powodu ciemności zacnego preceptora, dał mu podbok szturchańca wołając: A idźże naprzód, nie zawadzaj innym. Pan R. dał susa w środek katurii a inni na oślep za nim podobnież po kolana nabrali się w błocie.

/.

Mojówka ta dostarczyła mi materyału do kilku numerów „Dyscypliny."[1])

§ 35. O wybitniejszych członkach społeczeństwa. Ktokolwiek wziąłby do rąk ocalałe numera „Dyscypliny"

1.) Chcąc ocalić pamięć (dla kolegów moich) pozostałych w mym ręku śmiekatów „Dyscypliny" od zapomnienia, gdyby zaginęły, streszczam te pojedyncze jej numery, o ile je posiadam:

Najpierw pojawił się prospekt zapowiadający „Dyscyplinę" z prośbą o poparcie oraz aby koledzy „obchodzili się z nią względnie jako z papierem zniszczeniu podpadającym i zawsze punktualnie oddawali" (bo oczywiście wychodzić miała w jednym pisanym egzemplarzu.) Do prospektu dodano moje niewdolne rysunki mające przedstawić historyą zbiorowej fotografii i darowania jej na imieniny

profesora R.

udeny ge tam prawie na każdej stronie rysunek wspaniałej postaci p. Stefana Wiesiołowskiego[?], młodzieńca zdobnego w okulary, rzadką bródkę (rudą) i kraciasty pled obwijający całą korpulencyę właściciela, herbu „Ogórczyk" a zwanego w ~~prof. R.~~ Daty nie ma.

№ I z daty 29 kwietnia 1877 r. po Chrystusie – zawiera moje rysunki niby humorystyczne i początek „Zagadek i figlików" Gutowskiego:

Gwoli zabaw i igraszek
I waszej pociechy
Napiszę wam kilka fraszek
I od Naś[?] popszeczę[?].
Naprzód więc stawiam zagadki
Niech je każdy pilnie czyta
A kto spryt ma dzięki[?] gładki
Niech odgadnie a nie pyta
Lecz że wiem, iż nawet Mura[?]
Gdy złość ludzi k'temu skora
Potężnego może gura[?]

klasie Podgajniczykiem. Ubawił nas na większe poprzednio opisanej swoim niby angielskim strojem (ohorzony ples- dem) mimika i dobrym humorem. Wstawił

Sprawdzić na redaktora
Więc tu nie przypinam łatki
Nikomu w świecie, nikomu,
Toby wyszło mi na szkodę!
Kto zaś zgadnie mech w nagrodę
Palmę sobie co chce w domu.

I

Z kluczem w ręku, z katalogiem
Trzęsie palcem, krzyczy, pryska,
I nad klasy stojąc progiem,
Szuka okiem „łamparsiska".

II.

Zagadka o panu L. przytoczona poprzednio i „Godziny długich wieczorów etc."
d. c. n.

Nadzwyczajny dodatek do tego numeru zawiera moje rysunki z obchodu imie- nin p. R. oprócz figur klasowych

się później „Odą do ciężkia". Gawron — chce pochodzić z I oktawy — wygląd ogólny sympatyczny, wesoły, bitny, dworny — wypada zdaje się gospodarzem ~~[illegible]~~ majówek.

---

są deputaci pojedynczych stanów wiercących o niewprawnych ale charakterystycznych rysach, po których poznawano dalej że szło wyprawienie np. Gruba osoba w cylindrze w futrze szerokiem z tyłu widziana z podpisem: Stan pokrzywny — każe się domyślać bohatera z komedyi „Trafiła kosa" Niski pan z ogromnemi wąsami „Stan murzyński" (pan Vopalka — nauczyciel muzyki zmiany) Czarny lejtnant — Stan wojskowy — (mecz Molin) i.t.d.

Nr 2. z dnia 8 maja 1877 zawiera moją „Pieśń o butach" — której cytować to nie warto — na próbkę wstęp jeden:

Nie jeden panicz gardzi butami
Przenosi kamasze modne
Myślałby, że honor swój splami

Już mu się wąs pod nosem zaznaczył, chodził na lekcye tańców w karnawale i pokazywał się czasem ubrankiem — w cylindrze. Podobnież w cylindrze ukazał się raz przechodniom Kolega K. a że miał też bujnoksiężkowy

---

Gdy widzę buty wygodne!
Woli ciasne lakierki nieść
I biedne nogi gnieść
Potem na odgniotki sykać,
Gdy mu potrzeba umykać
Przed nauczycielami,
Różnymi drogami.
Lecz porządny Polus,
Gdy tylko nie golus
Nosi buty z cholewami
Z tęgiemi nosami
Czarne, czerwone
Żółte, zielone
Z kordybanu, safianu
Tak przystoi panu,
Stąd miało powstać przysłowie:
„Poznać z cholew kto panowie!"

Zagadka III o Świerszczu, wyżej zamieszczona i IV: Wszelkie dobra dostać z nieba
Wiedzą własną należytą,

więc Tatko mu go przysłał. Karykaturo-wał rysunkiem ku uciesze Kolegów, bo K. był stałym nerwowcem, ale kuł wszystko na pamięć i recytował z pamięci, co się belfrom bardzo podobało — dostawał więc

Chyba tylko dodać trzeba:
Znakomicie z Katechizmu czytał.
(Profesor Klgak — wykład jego był bezcel-nem dosłownem odczytaniem paru kartek Zoologii Nowickiego.)

V Nic nie skorzystał, on bez drżenia
Mówiąc tylko: „przyjacielu"
Pisze: siedm do zmudzenia.
Przykra droga z dobrym celu. (Prof. R.)

Telegramy: Składka na majówkę po-stępuje nadzwyczaj szybko — zebrano już 1 złr 23.

Wiedeń 8 maja: Minister oświaty Stremayr wydał nowe rozporządzenie dodatkowe do § 23146.a. Idąc w niedzielę lub świę-to do Kościoła należy polecić uczniom zatkać watą uszy aby zapobiedz nadwerężeniu organów słuchu przez tak zwany śpiew czyli krzyk na chórze kościelnym.

piątą, czystą lokacyą, czasem był foreczyrem nawet — ale klasa czuła, że to nie jest żadna zdolna głowa i pokpiwała z niego, szczegól-niej szeplenący Szaszkiewicz, dowcipny chłopak, który mi na niego podawał kon-

N° 3. z dnia 15 maja 1877. zawiera mój rysunek przedstawiający „platrzmurykę" (mamki, żydy, żołnierze) odezwę do ener-gicznej wpł. składek na majówkę reszta potargana.

N° 4 z d. 19 maja 1877. z dodatkiem, za-wiera same moje rysunki z majówki wów-czas odbytej — podobnie N° 5 z dnia 24 Maja ~~N°~~ z rozpaczliwem wezwaniem redaktora o współpracownictwo

N° 5. z dni 4 czerwca 1877 pojawił się po raz pierwszy z odbiciem sztancy tytułowej wyrytowanej przez Szymka Bernadzikow-skiego.

Zawierał moje rysunki (kopie z jakie-goś niemieckiego pisma): Historya kości z szynki z objaśnieniami wierszowanemi pisanemi przez Gutowskiego.

N° 6. z ~~dni~~ Nadzwyczajny zaś dodatek do tego

cepty do „Dyscypliny." Że zwykle wszystkie instytucye narażone są na docinki, bo wszystkim dogodzić nie mogą, więc zabawialiśmy się chętnie krytyką profesorów, dyrekcyi, zarządu Kolegeum[?] pomocy, niemową zwanej, numeru zawiera „Pieśń o butach" Gutowskiego.

Nr 7 z dnia 10 Czerwca 1877 zawiera (fragment) trawestacyjne rysunki moje do „Lied von der Glocke" i „Eneidy" np. do wiersza: Discite iustitiam moniti: prof R. obkładający trzciną ucznia na stołku — do wiersza: Quae cura nitentes pascere equos conspicit: furman fiakrowski dający koniowi owies: dalej wiersz Gut. „Uczestnikom wiedzielnego[?] chóru w Kościele S. Anny":

Gdym w sobotę raz wieczorem
Mijał Kościół Stej Anny
Zabawiłem, że otworem
Ciągnie orszak wiedzielny[?],
Wielkich szczurów, małych myszy
Pod starego wodzą szczura

/.

zarządu „Biblioteki gimnazyalnej" i jej stołów, a kolędy, którą w następnej klasie VIII osiągnęli owe godności, mieli się z pyszna. Kolega Morawski, jako taki tenor, który cnule na chórze kościelnym wyśpiewywać:

Któż by je wiódł w mroźnej ciszy.
Hm! Ciekawa awantura
Myślę sobie i zachodzę
Spieszno wszystkim ciasną drogę,
Tak wstrzymawszy szczurzy wodze,
Grzecznie pytam się jak mogę:
„Cóż za powód was ośmiela
„Wy cośmie zjedli Papiela,
„Teraz gdy się Moskal bije [1]
„Czy za wschodnią ciągnie walką? [x]
A on dumnie rzecze skromnie:
„Papiel wprawdzie już nie żyje
„Lecz żyje jeszcze Vopalko [2]! —
Zjedlibyśmy go ze szczętem
Nie brak k'temu nam ochoty
Lecz on na nas ma uroki
Bo brzucha jest rozmiarów

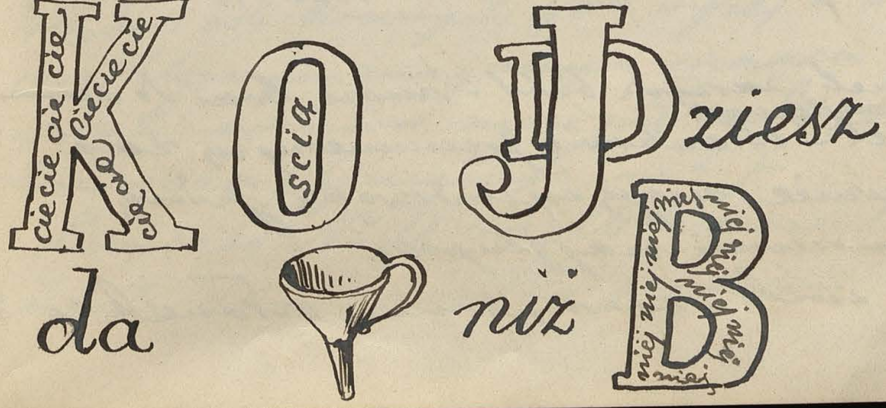
[1] Było to w czasie wojny turecko-ros. pisane
[2] Dyrektor śpiewu w gimnaz. Ś. Anny.

„Anieli stróżu mój" musiał wysłuchać wszelkie dźwięki. Wszystkich muzycznych szarpnięć strawę chóru gimnazyalnego, którego jedynym z naszej klasy był reprezentantem. O innych wybitnych osobistościach

---

Napełniają groźnym wstrętem.[4]
„I gdzież teraz wyjdziecie?"
„Idziemy błąkać się po świecie
Bo on wywiódł na chór zgraję
Co tak krzyczy jak mazgaje
Ani zasnąć nam nie daje
Zbyt wrzaskliwe są to bziki;
Ale dziwno jak możecie
Takie wrzaski takie krzyki
Ścierpieć w świętym domu bożym
Kiedy nawet my-nie możem!
Kara boska ci krzykacze
Idźmy, idźmy już tułacze!"

+ Rebus



będzie jeszcze niżej mowa

§ 36. Początki Klasy VII. Ponieważ studya do matury absorbują ósmakom cały czas, przeto zamykają się przeważnie w domu, kują, majówki nie odbywają i

---

№ 8 z dnia 15 Czerwca 1877 zawiera trawestacyjne illustracye dalsze do „Lied von der Glocke" np do wiersza „Kommen brüllend die gewohnten Ställe füllend: studenci wchodzący gromadnie do drzwi nad któremi napis: Klasa VII – dalej Statut dla Biblioteki gimnazyalnej mego układu

§1. Prezes jest od tego aby nosił ten tytuł.

§2 Sekretarz od tego, aby nie wiedział co się dzieje w bibl.

§3 Wicesekretarz jest od tego, aby niekiedy podpisał się na papierze wystawionym za kratkami zawiadamiającym o tem, co się nigdy spełnić nie ma, i aby nie zrobił tego, czego i sekretarz nie zrobił.

§5. Można zapowiedzieć, że w niedzielę od godz 11 do 12 będą książki wydawane do czytania, ale robić tego nie należy, aby uczniowie nie marnotrawili drogiego czasu

§6. Każdy członek zarządu bibl. może brać do domu 2 do 22 książek i to co najlepszych – członkowie prenumerujący zaś po 10c. miesięcznie, mają się zadowolić jedną książką ile możności najgłupszą.

§7. Dla brania, stołka i kałamarza może członek za

mało na zewnątrz występują — Którego
Klasa VII ~~[illegible] jest za~~ odgrywa w
czynnem życiu najważniejszą rolę, do
niej należy zawiadywanie Biblioteką
gimnazyalną, a majówka jej jako ostat-
rządzi brać książki — jednak nie dalej jak do dzie-
siątego pokolenia.

§ 8. Krewnym płci żeńskiej można pożyczać
aż do 15 stopnia pokrewieństwa

§ 9 W żadnym razie jednak nie wolno brać więcej
książek jak tyle, aby przynajmniej 10 pozosta-
ło w szafach na znak, że to biblioteka [illegible].

§ 10. Należy kupować dużo pięknie oprawnych
książek francuskich, pomieszać ich, nikt nie
czyta więc się nie zniszczą i pięknie w szafie
jednak wyglądają.

§ 11. Wszystkie te [illegible] należy niszczyć dobrze, aby
świadczyły o swej pożyteczności w narodzie.

§ 12. Po zaspokojeniu wymagań członków za-
rządu i ich krewnych jak wyżej — resztę można
najbliższym znajomym czasem pożyczyć —
reszta uczniów może się zadowolić Ro-
binsonem, Genowefą i t. p.

Zamiast N-ru IX z d. 20 Czerwca 1877 po-
została mi ćwiartka papieru z odbitym
/.

nia z możliwie największą świetnością się obchodzi.

Gdy więc zeszliśmy się ponownie do gim- jako siódmacy, objęliśmy zawód czytelni gimn. a seniorem wybraliśmy Króla, który

tytułem i dopiskiem: „Numer ten został skonfiskowanym przez p. prof. Zrembę. Dla braku czasu nie możemy wydać dru- giej edycyi. Zawierał następujące przed- mioty: „Ocem może kładzie się spać?" „Telegramy" i „Wiadomości bieżące" i humorystyczny obrazek powtórzony na odwrotnej stronie". Na tej stronicę odwrotnej widać Sukiennice otoczone parkanem a przed niemi murarz i pan, z dopiskiem: „Piękny to gmach! Ciekawym, kiedy skończą tę res- staurowanie? – A no – wieki budowały to i wieki odbudowywać będą."

Następny numer nosi datę 10 września 1877 a numer I z dodatkiem pod tytułem: „Rok istnienia drugi". Pochodzi więc z klasy VII. Zawiera: „Sesya ostatnia za- rządu biblioteki gimnazyalnej. Przewodniczy Senior p. Król. i wzywa obecnych o zerwanie

godności by przystosować do inwencji; nie
zbyt długo zawiłej. Wybory do zarządu nie
obyły się bez agitacyi, bo wielu ambit-
nych ubiegało się o te godności. „Dyscy-
plina" rozpoczęła drugi rok istnienia.

Ducha S. następnie uchwalono jednomyślnie,
że książki należy pożyczać. Po krótkiej dyskus-
cyi przystano również na to, aby wypożyczone
książki zapisać piórem stalowem lub gęsiem
do księgi. Za najgodniejszych pożyczania
uznano samych członków zarządu. Pan H. wno-
sił, aby każdemu wydziałowemu wolno było
pożyczać tyle książek, ile ma palców nóg i
rąk, a po tyleż dla krewnych, znajomych i przy-
jaciół. Ze względu, że prawdopodobnie sprze-
ciwiłaby się temu c.k. Dyrekcya zmodyfikowano
te cyfry. (Oklaski) Senior wzywa do wznie-
sienia okrzyku na cześć ck. Dyrektora (Vivat!)
potem zamyka sesyą.

Następuje Kronika: Rok szkolny roz-
poczęto uroczystem wezwaniem Ducha S. w
Kościele S. Anny a podczas nabożeństwa
odegrało 4 wojskowych muzykantów
pod kierunkiem jednego tytularnego frajtra

/.

ku zadowoleniu Kolegów, z wyjątkiem krytykowanego w swej zarządu czytelni i słoni.

W parę dni wezwano nas na ogólny wiec, na którym Dyrektor zwykłym oby-czajem p. Łopatki. Pan Dyr. gimnaz. wy-raził dyrektorowi muzyki swe najwyż-sze zadowolenie."

„Z wielką radością pospieszamy za-wiadomić szan. czytelników, że w na-szem gimnazyum poprawiono aż jedną nową tykę do picia przy studni. Skła-damy za to serdeczne podziękowanie c.k. Dyrekcyi staropolskiem „Bóg zapłać”."

„Od wczoraj budzą podziw młodszej generacyi nowe ławki, które kilku pejsatych artystów malują austryac-kim kolorem. Ławki te posiadają mię-dzy innemi te zalety, że siedząc na nich 4 godziny można się do nich przy-kleić i odgrzać sobie łopatki."

„P. Wincenty (teryan) zamierza napisać swoje pamiętniki. Będziemy

czasem odczytać nowy kodeks praw gimnazyalnych. Właśnie dyrektor wykłada
„§ 4. Tytoniu palić nie wolno —
„§ 5. Nie wolno zbierać składek bez

---

starać się je wyjaśnić dla naszego pisma."

Dalej telegram o zwycięskim szturmie Moskali na Plewnę — (Czwarty: Ta się wówczas wojna turecko-rosyjska a wszyscy nasze sympatye były po stronie Turków, stąd wiersz Dyscypliny ten temat porusza)

Następują rysunki z kręgli (wówczas przez nas uprawianych. Pod spodem rysunek 3 studentów pod gimnazyum, między nimi po ich uczesaniu poznać kolegę Głosa po okularach. drugiego parasolu, kapeluszu i zwiniętym nosie kolegę Stefana (ojca Bilę). — pod spodem rozmowa:

— Pojdziemy na kręgle?

— Dopiero rano czytali, że nie wolno nam grać w kręgle. ·/·

zezwolenia dyrektora pod karą dy-
scyplinarną" – gdy słuchacze na te o-
statnie słowa parsknęli śmiechem,
mając na myśli „Dyscyplinę". Dy-
rektor jednak nie wiedział nic o
Tak ale potem wytknięto, że ćwiczeń cie-
lesnych się nie zabrania, a przecież
granie w kręgle ćwiczy rękę.
– Prawda, ale są jeszcze 2 przyczyny:
po pierwsze, że dałem sobie słowo więcej
nie grać, a powtóre – że dopiero grałem.
– Et – zrobimy partyjkę jedną za
wista
– Niech będzie – jedną kręgapartyę
i jedną gabineta
Potem rysunki grających – wreszcie
scena w antykwarni: student kupuje
u żyda gramatykę grecką – obok sto-
jący jegomość robi uwagę: dopieroby
was uczyli po turecku, toby się przecież
teraz przydało! (Było to w czasie
wojny turecko rosyjskiej)

„Dyscyplince" i właśnie rozpostrzytym pt. jw. drugim rokiem pomyślnego żywota, sądził, że studenci umrzeją się z zabawy, omdlewać z obawicenia, a potem wszą nogi: Co to jest? kampanerka! ja was naw.

Z num. III z d. 15 pazdz. 1877 pozostał nadzwyczajny dodatek obejmujący moje wielostwo pt.: „Katedriada"

Nr. V z dnia 5 listop. 1877 zawiera mój rysunek 3 studentów przy nauce pod spodem rozmowa: Jakiej użyłeś metody w ostatniem zadaniu można u matyzmem, „porównania" – czy „eliminowania"? – Nie – metody „odpisywania".

Dalej illustr. trzy chwile życia profesora R: I gra na fujarce pasąc bydło, II pisze wiadomości do katalogu, z jednej strony anioł stróż odciąga mu rękę, a z drugiej djabeł składa mu pióro, III śpi, anioł stróż płacze, djabeł się śmieje.

/.

się! Nie wolno zbierać składek! nie wolno! Nastała więc cisza, a tylko po kątach drzemało się cicho ze smutkiem — tylko Redaktor Dyscypliny czuł się

Krawiec przynosi wiadomość że kolega H. z wrodzoną sobie hojnością ofiarował do czytelni na powszechny użytek dwa stare pióra stalowe wypróbowanej dobroci — dyrektor przesłał memoryał do Rady Szkolnej o zamurowanie okien VII klasy odsłaniających widok na ganki seminaryum żeńskiego (u Goetza, wówczas ~~[illegible]~~ niezasłonięte domem)

Z numeru VII 15/II 1877 została kartka ze stanowiska Dyscypliny i doniesieniem, że numer ten zaginął w czasie podróży po krzesłach czytelników, a zawierał kronikę, telegramy, „faciaty z czytelni" ogłoszenie względem „kurtkowej" dostawy preparacyi pana kolegi Stefana illustrującą „Ser" (gniecenie królikmiastu w tawie wystarczającej na kilku uczniów)

nieswoim, bo odkrycie w nim powodu
śmiechu z dyscyplinarnej kary mogło-
by sprowadzać jego napędzenie z gimnaz.
Po chwili ustąpił jednak, rozpogodziła się

№ VII z dnia 30 listop. 1877 Zawiera
moje illustracye billardzistów (wówczas
modnych w klasie) w kronice donosi się
że nie był urządzonym w gimnazyum wie-
czorek Mickiewiczowski, a deklamo-
wanym był na nim — Ojciec Zadziemio-
nych Stwórczego. Opis fikcyjnej uro-
czystości: ... osoby chcące uczcić dwu-
letnią działalność Dyscypliny zgroma-
dziły się w lokalu redakcyi wyrażając
swe uznanie P. G... przemówił pierwszy
i wzniósł toast na cześć redaktora.
Redaktor wzniósł toast na cześć p. G..
podnosząc jego zasługi obywatelskie w
klasie VII, ~~a za to~~ dalej p. K... wyra-
ził w imieniu wszystkich dobrze my-
ślących uznanie dla praktyki „Dysc."

./.

ck. Dyrekcya i otrzymała [illegible] bez żadnej przeszkody do końca.

§ 37. Collegium minus. Wkrótce, z powodu przepełnienia klas w gimnazyum,

i zgodności jej z większością rzucając słuszne potępienie na kilku demagogów i warchołów politycznych występujących z ostatecznymi zastrzeżeniami przeciw nadaniu Drewnickowi, wreszcie redaktor zakończył staropolskiem Kochajmy się i pomimo wszystko pod dobrą datą udali się do domów.

(jest to parodya jakiegoś artykułu współczesnego „Czasu" czy „Reformy".)

Następują rysunki pozycyi odpowiadających przy tablicy z matematyki i ballada „Rozbombardowani" Gutowskiego, którą w tekscie pamiętnika zamieszczam.

W końcu telegram: Wieczorem 2/12 1877: Wieczorek odbył się, wszystko się udało, 6 lamp się świeciło. Bełtry,

przeniesiono tymczasowo naszą klasę do Collegium minus, gdzie się we wrześniu wykłady akad. jeszcze nie odbywają. Mieliśmy tam porzucić w gorącu do pas a

damy, panowie, brawo, fora, ścisk. Temperatura + 55.° Cel.

(Był to pierwszy w naszem gimnazyum wieczorek Mickiewiczowski, urządzony przez klasę o rok od nas wyższą w studyach, z inicyatywy Kol. Jana Pawłokowskiego).

Nr VIII z 8 Grudnia 1877. zawiera parodyjny program wieczorku mającego się urządzić przez naszą (VII) klasę na korzyść pomocy koleżeńskiej: 1) P. W.... "oda do cielęcia" 2/ P. L... przetłomaczy ustęp z Wirgilego bez ściełobryka 3/ Na rozweselenie wystąpi kolega K...., jako kanonorost, w cylindrze 4/ Duet pp R— i K..: zjedzą w oczach widzów 5 kop pierogów 5/ P. K... (sławny Virjon) wypowie na pamięć dosłownie 5 arkuszy historyi, a na brawo jeszcze jeden.

/.

dzienniku, a tymczasem można wyna-
jąć gdzieś w ogrodzie parę ław na roz-
czesanie gimnazyum. Były to dla nas
złote czasy: każdy profesor przychodził póź-
niej, a wychodził nieco wcześniej, niż zwy-

№ IX z 20/12 1877 Zawiera rysunki: Naj-
nowszy sposób zabijania czasu na godzinie
religii (puszczanie wróbla) i przygody na
wieczorku (ścisk we drzwiach i na tań-
cach, błądzenie po ciemnym dziedzińcu itp)
№ X z 20 stycznia 1878 rysunki z życia
klasy: Czytanie wykazów przez prof.
R. wśród okalonej słuchaczami katedry
„Nowoczesny Cerber" (prof. R. wyskakujący
z konfesyonału i łapiący nadchodzącego
z kościoła ucznia) „Samodzielna odpo-
wiedź z matematyki: (student przed ta-
blicą, za tablicą podpowiadający, za ple-
cami Grabowskiego Wierzbowski pokazujący
na migi odpowiedź.
№ XI z d. 12 lutego 1878 Rysunki ucie-
kających z egzortv, wyganych przez dyrek-
tora

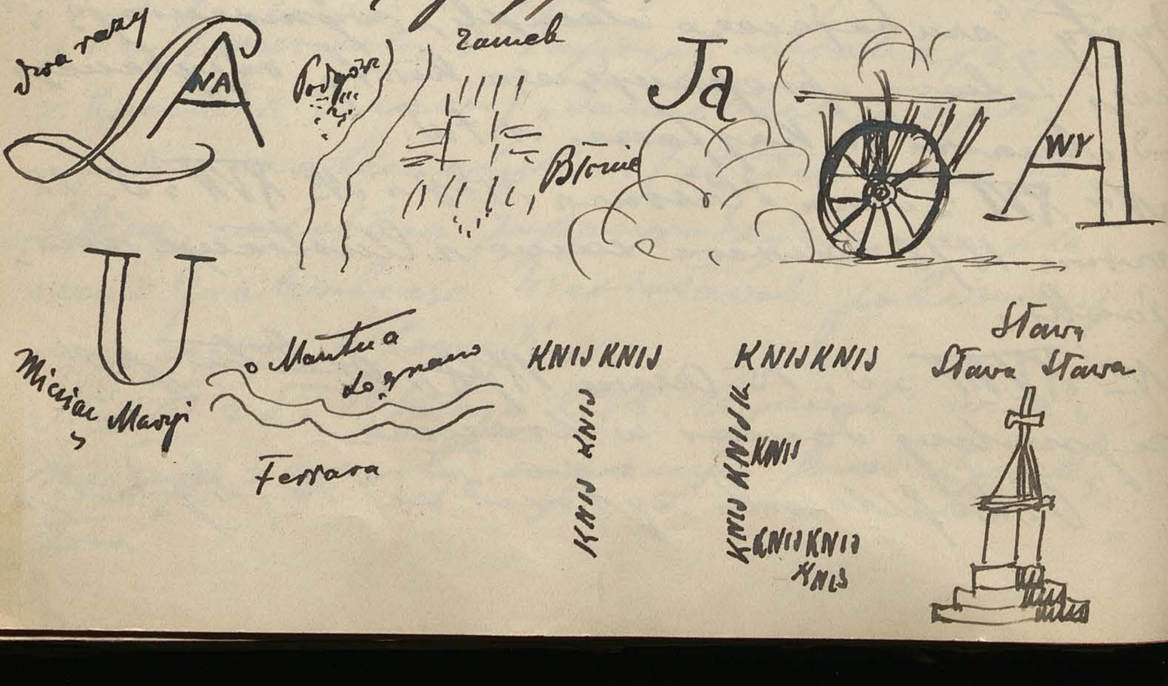
Ale bo nie tego drzewka. Oprócz tego w innych bocznych pustych salach mieściliśmy garderobę i salon do palenia papierosów. Wynajęliśmy też sobie nową

№ XII z d. 20 marca 1878 Rysunek: Sen pana R.: nad łożem jego bukiet gimnazjalny w dymie kominów słowa: gramatyka, brama gimnaz. z napisem: Termopile, Katalog z siódemkami, talerz knedli z supinum, retorta z której wypływa źródłosłów, perfektum jako błyskawice wali w powietrze z którem unosi się stuletni dziad-Homer i.t.d. dalej „przygody stypendysty" zrubającego stempli, wynoszącego talerze, przepisującego kosty, odsyłanego od Anasza do Kajfasza i.t.d.
№ XVI z dnia 1 Czerwca 1878 i № XVII z d. 12 czerwca 1878 zawiera same illustracye majówki;
№ XVIII z d. 15 Czerwca 1878 „ostatni pożegnalny donosi w kronice:
„P. Łepkowski zgłosił się do dyrekcji

zabawę: zdobywanie katedry. Podczas
gdy w gimn. katedrę zaokupował wszystky
stół, tu była prawdziwa w kartatce
kontestowanie, do której kilku właziło

---

gimn. z prośbą aby mu odstąpiono
do gabinetu archeologicz. 2 tyźki przy
studni wiązce i stołki na których siad.
grono prof. zasiada podczas egzaminy.
Dyr. odmówiła, albowiem tyźki są jeszcze
oczyniowo zdolne do wszystku, a korekta mo-
gą być wzięte do ogrzania klas w zimie.
Na zakończenie rysunek: płaczący ich
dzieci koło katafalku na którym w
trumnie leży dyscyplina i rebus:



zamykało drzwiczki boczne za sobą, a wresz-
ta zdołupywała, co było wcale nie łatwem,
bo zamknięta szrankami, podwyższona,
dawała dobry punkt oparcia obrońcom,
i trzeba było przez głowy wsadzić im jed-
nego nadliczbowego zdobywcę, wyciągnąć
obrońców za kark, ręce a potem nogi
i dopiero opróżnić ją jednemu fortecę.
Kołnierze, mankiety, rękawy targały
się przytem wyśmienicie. Napisałem o
tem epopeję w 24 pieśniach 4 wierszo-
wych, ale tak nędzną, że nie warto jej
przytaczać:

Jak wzrok zasięga, na równinie boju
Widać ludzkiego wszędzie ślady znoju
Tu leży szpinka, tu guz kamizelki,
Owdzie znów mankiet i kawałek szelki.

§ 38 Portret p. A. Maya. P. M. uczył
u nas fizyki. Wysoki, chudy, poważny,
udawał zimnego i niewzruszonego,
ale uśmiechał się czasem, zwłaszcza
z własnych konceptów. Do jego

./.

ludzkich słabości należało, że lubił
udawać wszechwiedzącego, wiedzącego
o wszystkich naszych sprawkach
— a zwykle ani mu się o nich śniło —
i że tylko z pobłażliwości nie robi
użytku ze swej wiedzy. „Dla fizyka
nie ma tajemnicy" zwykł był ma-
wiać gdy był w dobrym humorze, i roz-
gadał się — wtedy uśmiechał się, mru-
gał znacząco oczyma, mówił ciemno
jak Pytia. Słyszał coś o naszych bo-
lardzistach (o których niżej) więc wziął
stąd assumpt do okazania głębo-
kiej znajomości tych spraw, ga-
dając: „Idzie się panie do kawiarni,
upuszcza się dymy z cygara,
i pije się taką, taką (tu pokazywał
wielkość ręką) szklankę kawy i
ma się do tego wesołe towarzystwo...
przed okiem fizyka nic się nie ukryje!
co mówię nie z pedanterji — potem pro-

bije się sztuczkami z bilard, spróbo-
wać elastycznemi kul. Prawda panie
Stefan?" (Tu trafił zupełnie p. M.
ale tylko dla tego, że całe gimnazjum
o tem wiedziało obok p. Maya) Tu
cała klasa uznała za obowiązek śmiać
się do rozpuku, aby p. M. utrzymać w
dobrym humorze, p. M. śmiał się jeszcze
lepiej — a najwięcej śmiali się ci,
którzy obawiali się być pytanymi,
bo czas złowrogi mijał tymczasem.

Gdy p. M. był w złym humorze, wtedy
wszystko normalnie powodnie,
wówczas ziewał co 1/2 minuty, a
my za nim, że mogło się zdawać,
że klasa cała razem z precepto-
rem parę dni ~~tno~~ i nocy bezsen-
nych przepędzić musiała.

Co parę godzin (fizyki) udawa-
liśmy się na eksperymenta do
J.

amfiteatru (dawnej sali gimnaz. zam-
fiteatr. średniowiecznej z czasów sejmów Rzeczy Krak.) gdzie był starannie przez p. M. utrzymany gabinet fizycz-
ny i gdzie się bardzo dobrze wówczas ba-
wiliśmy, raz dlatego, że prawie każ-
dego doświadczenia tykać musieliśmy, powtóre, że w czasie eksperymentów brakło czasu na pytanie nas przez profesora. Raz podczas prób elek-
tryzowania puścił p. M. silny prąd przez osobę czcigodnego kolegi na-
szego p. Młynca (Münze) który pod wpływem prądu, zapomniał o godności profesorskiej p. Maya i krzyczał z wy-
bałuszonymi oczyma: Puszczaj! puszczaj! puszczaj! ku wielkiej na-
szej uciesze, aż go musiał May puścić.

§ 39 Portret p. Teofila Żremby.

P. Z. uczył języka polskiego, łaciny, często

tyki. Lubił ciągle cytować wiersze zmarłych autorów, powtarzając jednak zbyt często, stąd autor tej kroniki nakreślił jego portret samemi takiemi cytatami następująco:

Alboż to w Polsce brakuje na ustroniach
Co umoczą do pawęzy wysłaniu w rumieńcach[1]
Słynął szeroko pan Zrembe Bogumił;
Że żaden belfer do niego się umył.[2]
Mazi dzieciny zwadą, ołówkiem i piórem
Nie był nikomu w gimnazjum wtórym[3]
Wdarł się na skałę przestrzej Kalliopy[4]
Gdzie oprócz Czubka nie postawił stopy
Żaden z ówczesnych naszych preceptorów,
Nieraz kładł łatwo koniec naszych sporów
Gdy aequam mentem wspominał Horacego
Albo przytoczył wierszyk Krasickiego:
„Kłócili się o to przez lat kilkanaście,
Jan wołał: gasić ogień! a Piotr: ogień gasić!"
/.

1/ Tak przetłumaczyłam „tcatila" na polskie
2/ Reminiscencja wiersza „słynął szeroko Dobrzyński zaścianek..." 3/ 4/ reminiscencje Reja. /.

On jednak nie siadł, jako bić zając 4)
Na jednej miedzy — ale wyjeżdżając
Ołomuniec odwiedził, słynny targiem wołów,
Brunn, Berlin, Paryż, Padwę i Sokołów
Był na Cyprze, pod sławną opoką
Którą tamtejsi zwą Birbante rocco,
Widział dalekie burzliwe odmęty
Porty i statki, galary, okręty.

§ 40. <u>Bilardziści.</u> Gdy się rozpoczęły wykłady uniwers. przeniesiono nas z Colleg. minus do gimnas. gdzie zajęliśmy naroźną klasę na I piętro z pięknym widokiem na ganki (wówczas budynkiem frontowym nie zakryte) domu Goetza, gdzie się mieściło seminaryum ścisłe. Sala ta była widownią wielu wypadków ważnych: tu prof. R. odwiedził i egzamin. bilardzistów, majówkowiczów, tu wreszcie potem zdaliśmy maturę.

W owym czasie wielu kolegów zamiłowało w grze bilardowej i uczęszczało

4

incognito do kawiarni, z początku z umiar-
kowaniem potem z namiętnością taką,
że nawet ch. Dyrekcya o tem się dowie-
działa, a „Dyscyplina“ miała ostro wy-
stępować przeciw temu marnowaniu
czasu i pieniędzy. W jej łamach po-
mieścił Gutowski okolicznościową bal-
ladę pt.: „Rozbilardowani“:

Ze szkoły raz w dogodny czas
Wymknęło się dwóch studentów,
Zdrowiuszy wnet porzucili wskok,
Przez ciury kilka skrętów

Doszli bez burz, i kiedy już
Do bil się wzięli radośnie
I tak we dwóch wstępował duch,
Przy grze im zapał rośnie.

Już parę chwil sztuczkami bil
Bawili się szlachetnie,

./.

„Wesoło nam, a w klasie tam
„Nie jeden pewnie zetnie!¹)

„Nie złapią nas, a przecie czas
„Uczniowiej jakoś minie,
„Zabawniej wszak, niżeli tak
„Nudzić się na „godzinie"

„Do licha cóż? „siadaczą" już
„Zrobiłbym ja nie zdołał?"
W zapale ów w potoku słów
Wśród ciągłych „sztosów" wołał.

Tak długo dość szpiclom na złość
Grały te bohatery,
Przez długi ciąg z pod wprawnych rąk
Szły „tryple" i „burery".

Aż bile się złożyły źle,
Na bilard sięgać trza było,
I by je pokłuć, trza było wziąć
Kij w tył — a trącić z siłą

---

¹) = zrżnie, = nie będzie umiał odpowiadać belfrowi na pytanie. P. A.

Więc jeden wsiadł – lecz nagle zbladł
Obejrzał wśród zamachu,
Utknął mu głos, a kołkiem włos
do góry wstał ze strachem,

A on nie śnił, bo – belfer był
Istotnie w drugiej sali!
Zatem w sam czas nogi za pas
Do szkoły znów zmykali:

Lecz to nie śmiech, bo kiedy „pech“
Raz przyjdzie na człowieka,
Z pod jego rąk i djabelskich mąk
Daremnie on ucieka,

Tak też i ci, kiedy już szli
Przez szkolną bramą w trwodze
„(Czyż to nie pech! bodajeś zdechł!)
Spotkali belfra w drodze!

Z tych tam psot śmiertelny pot
Wystąpił im na czoło,
Przyszli w sam czas, bo właśnie z klas
Wychodzono już w koło!

Raz znowu Gawron nie znalazł s-
ny partnera do bilardu w Kawiarni
kazał sobie dać kawy i polecił
garsonowi, aby mu dał znać,
gdy jaki pan zechce grać. Po chwi-
li przychodzi garson, że jest partner
przy bilardzie. Gawron nie dopiwszy
kawy biegnie – nagle blednie
w partnerze poznał p. Malina!
Trzeciego p. M. upoważnia się
wytoczył sprawy przed władzami
gimnazyalnemi.

Gorzej było z ojcem Bilą Hi: Ste-
fanem. Dojrzał go i jego part-
nera Harapcewicza pewien belfer
na bilardzie i doniósł panu R.
Po kilku tygodniowem śledztwie
zaczytano bilardzistów na 8 go-
dzin kozy.

§ 41. Studya naukowe. L

powrotem klasy VIII doszła nas wieść, że grekę ma objąć p. R. Strach padł na klasę a wkrótce objawił nam p. R. ten fakt własnoustnie. Na gwałt kupowano „Freunda" i „czelabryki" aby podołać wymaganiom nowego preceptora, znanym nam już co do łaciny.

Prof. Ziemba uczył polskiego oraz logiki i estetyki. Te ostatnie godziny zabijaliśmy głośnem czytaniem autorów obcych jak Szekspira, Calderona itd. co także nie było bez korzyści.

Kol. Wesołowski napisał wówczas „Odę do Welgusia" jakby napisał Szekspir

j.

Oderwa ta naszpikowana zwrotami którymi nas preceptor uraczył tak się podobała że na ogólne żądanie na godzinie p. Zremby ponownie ją odczytał deklamując odpowiednio Grzkowski, a klasa wybuchała śmiechem za każdym zwrotem Tanińskim przypominającym jej uwagi krytyki i siódemki pana R.

Dlatego przyłączam tę oderwę jako dowód owczesnego naszego gustu literacznego.

vide zeszyt II

C. J. n.

9/6 1899.

wpisać odezwy najważniejsze

Odezwa
w sprawie majówki

zbudowa
na no
...
ny Cicero
na pro Mi
lone

46

na godzinie pana Ziemby już czytano.
Ponieważ odezwa tak niezwykle
śmiało wstęp wypowiada, i bardzo się
podobała, przeto przytaczamy ją tutaj.

§ 46. Odezwa Majówkowa.

Koledzy! Tak wogóle dla człowieka naj-
ważniejszemi chwilami w życiu jego są
przyjście na świat, małżeństwo i śmierć, tak
w życiu studenta najważniejsze momenta
są: dwójka, matura i Majówka. Nie zatrzymu-
jąc się dłużej nad znaczeniem otrzymania dwój-
ki, która z praktyki lub teoryi powszechnie wam jest
znana, nie omawiając bliżej matury, którą prakty-
cznie w roku przeszłym wyeksperymentowaliśmy, przy-
stępujemy do najważniejszego momentu t. j.
do Majówki. Sed antequam ad eam oratio-
nem venio, muszę się usprawiedliwić
dlaczego tak wcześnie zajmujemy się tą
sprawą. Wam [illegible] niejeden
zapytać z pierwszych przedmiotów dni Maja
jakieś nadarzą, a nie zwlekać, aby przy-
najmniej z niezmienności pogody znajdą
(jak się o tem nauczała w roku
przeszłym przykrej pamięci) nie był [illegible]
niepożądanymi odgłosy Majówkę w [illegible],
kiedy miesiąc Maj wyłącznie na Majów-
kę przeznaczony, skoro od Majówki Maj na-
zwany został. Dlatego potrzebne fundusze
przez cały kwiecień zbierać się będą.

47

109

Trzy ostatnie majówki nieudały się nam, wiadomy to powszechnie. Z tego wynika, że żeśmy sobie to powinni tego roku odwetować; dalej wynika, że ją jaknajwspanialej odbyć potrzeba, bo na przyszły rok w tym czasie będzie każdy zajęty uczeniem do matury. Ergo majówka tegoroczna powinna być najpiękniejszą, najwspanialszą, ażeby wspomnienie jej na długo w pamięci ludzkiej i kronice gimnazyalnej pozostało. Τί οὖν κελεύω; przyszedłszy do tych wniosków? primo: powinna majówka trwać dni 2, uważając jednak, że przy 2, 3... n razy dłuższem trwaniu majówki 2, 3... n razy więcej potrzeba pieniędzy, ergo należy się o składki, co wy łatwo pojmiecie vos, quorum quisque est doctissimus, fortissimus, sapientissimusque, dwa razy większemi składkami przyczynić do dwa razy dłuższej majówki.

Secundo: Pieniądze zbierać się będą ~~przez~~ od dziś dnia, lecz nie obrażajcie się o kolędzy, że Wam nie ufamy co do chęci wszystkiego składania się, nie! na przybytek swojego Dyodasa! lecz dlatego, że n. p. pan

s. nie ma na vzrie pieniędzy, pan B. na-
pisze dopiero po nie do domu, pan C. zabije
dopiero w Antykwarni Olintyki, Filipiki
... pro Milone" i Wirgilego. Pan S. zgrał się
w bilard do koszuli, słowem, każdy chce się
mieć za wytłumaczonego, dlatego więc wszyst-
kiego składki trwać musi dłużej. Sed iam
satis multa de składka nunc ad Majówki
locum pervenimus. Poddamy więc pod gło-
sowanie Ojców i Dubie, ut sententiis ve-
stris decernatis, quo proficisci debeamus.
Zaiste jak pyszną i pamiętną byłaby
ta majówka! O di immortales!
pulchram eta vobis conservandam con-
suetudinem! Co do dni, w których na
Majówkę pojdziemy, to sądzimy, że najlepiej
będzie przez Niedzielę i Poniedziałek
który nam zna ~~z~~ na szczodrobliwości i hoj-
ności Dyrekcya darije, a przez Sobotę
wszystko się ostatecznie przygotuje i ułoży.
Sed iam fortasse nimis multa de
hac re powiedzieliśmy, dlatego też kapitulujemy
krótko i wertowato kwintesencyę: Zmiłujcie
cie się szanowni, cnotliwi, dzielni i mądrzy
mężowie. Załatcie ~~Nasz~~ klesy naszej

jak największymi datkami, a zgodnie i
jednomyślnie doprowadzimy najwspa-
niałej naszą jedyną pociechę, majówkę
do skutku, albowiem dura, medius
Fidius fortuna et crudelis klasy
naszej videtur nobis! Daj się temu
świadectwo solidarności i przyjaźni
koleżeńskiej, a zostawimy złotą
kartę w historyi liceum Nowo-
dworskiego. Quid iam restat, ni-
si ut orem obtesterque vos, aby-
ście zachowali ten zwyczaj, świetnie
obchodzili ten dzień, w którym
ginie granica dzieląca ucznia od
profesora, kiedy w ręku każdego
zamiast umaczanego w inkauście
pióra lub pręcie zaciętego ołówka
żarzy się papieros z dobrego turec-
kiego ~~tytoniu~~ z gotowego u ferlagu
kiedy zamiast codziennego dwu-
wodorku tlenu H_2O zwanego
przez niewtajemniczonych wodą,
na spieczony język spadają krople

50.

powiem wreszcie: szklanki okocimskiego piwa, kiedy... — Coż kiedyżbym skończył jest przepiękności pozytki na czas wszystki? Któż inne swojczaj miałby zaginać? O! terram illam beatam, quae hunc morem acceperit, ut tam pestultam quae eum ciecerit! Razem witowi przyjaciele! Hej! wspiąmy żywota!
Dzisiaj dziejem bytko raz!
Niechaj majówka złota
Nie próżno wabi nas!
Gdy bytko jest ochota
To przemarsz jest i czas! +)
Sed finis sit, neque jam prae lacrimis loqui possum! pomnijcie tylko że trzeba się składać, składać i składać!
Władysław Helcel
M. Bykowski
Alex. Gaworowski
... Nowak
+) Wiersz Gutowskiego ...

Kraków dnia 17. Stycznia r. 1876.

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY

Wychodzi co drugi Poniedziałek

N^er II.

Wychodzi co drugi Poniedziałek

Seweryn Goszczyński.



Seweryn Goszczyński urodzony r. 1803 w Ilińcach w ziemi Kijowskiej, pobierał nauki w Międzyrzeczu i w Winnicy, a następnie w Humaniu, gdzie się zaprzyjaźnił z Bogdanem Zaleskim. R. 1820 udał się do Warszawy, i tu wszedł w koło młodzieży, otaczającej Brodzińskiego. Ozwał się już wtedy w nim poetycki duch, którego owocem były najpierw krótkie liryczne wiersze, potem utwór opisowy większych rozmiarów, mianowicie „Zamek Kaniowski", gdzie odmalował z całą okropnością wypadki r. 1768. Powstanie listopadowe popchnęło go na pole walki. Przy końcu r. 1831 emigrował do Francyi, skąd wkrótce wróciwszy, przesiedział parę lat w Galicyi, zwiedzając piękne okolice górskie, Tatrzańskie i Karpackie. Te wycieczki natchnęły go do napisania nowych utworów: „Sobótka" i „Król Zamczyska". Pierwsze jest ułamkiem tylko większego poematu wcale niedrukowanego jeszcze pod tytułem „Kościelisko". Drugie, powieść napisana prozą poetycką odnosi

się do zwalisk zamku Odrzykońskiego. Po powtórnem osiedleniu się w Paryżu umilkł poeta. Przyczyną tego oniemienia był szkodliwy wpływ Towiańskiego na poetę. Dopiero odezwał się w najnowszym czasie w „Posłaniu do Polski.“

Prozą wydał Goszczyński dwie powieści: „Oda“ i „Straszny Strzelec.“ Prócz tego tłumaczenie „Ossyana;“ „Dziennik podróży do Tatrów“; „Nowa epoka poezyi polskiej“, nadto mały poemacik „Anna z Nabrzeża.“

Seweryn Goszczyński liczy się do szkoły ukraińskiej, tylko na mocy „Zamku Kaniowskiego.“

Sprawa Narodowa.

powieść historyczna przez M. S. (Michała Stefana)

(Ciąg dalszy).

Idąc prowadzili z sobą żywą rozmowę.

– A więc, mówisz mi panie Cortrign[illegible], rzekł jeden do przewódzcy, – abym poszedł do Cacheraune i zmówił panu, jak najwięcej zuchów?“

„Tak Rauviaux, trzeba mi bardzo wielu ludzi do pomocy i to jak najprędzej; gdyż mam bardzo wielki plan do wykonania. Tylko się staraj, aby mój ojciec, baron Cortrigneau nie wiedział o tem. Lepiej niech się zajmie gorliwiej sprawami swych poddanych, książkami i kartami, niech lepiej gra z pułkownikiem Florideau w sztosika i faraona, niż się ma wtrącać w me interesa.“

„Bardzo dobrze, – odrzekł Rauviaux, już to pan Filip masz doskonały rozum, i jeżeli tak będzie, jak idzie dotąd, to ani wątpię o udaniu się wyprawy.“

„Dajmy temu spokój – tylko się staraj jak ciż[illegible]. Gdy zbierzesz choć 6 ludzi to donieś mi. Będę jak wiesz u dworu ojca. A wy przyjaciele, rzekł zwróciwszy się do innych towarzyszy, chciejcie to przyjąć. Tylko się nie popijcie i bądźcie w każdej chwili gotowi. Pamiętajcie co mówi Pismo „czuwajcie, bo nie wiecie dnia i godziny.“ A ja wam pewnie nie dam tak łatwego rozgrzeszenia, jak wikary. A teraz idźcie do djabła i jeszcze raz mówię czuwajcie!“

Szanowni towarzysze i wspólnicy pana Cortrigneau zwolna i z zadowolnioną miną udali się do Cacheraune, gdyż każdy czuł w kieszeni cztery ludwiki, których ciężar i brzęk miłe na nich robiły wrażenie. Przy wejściu do wsi stała obszerna karczma, do której się, dla rozegrzania, jak mówili żołądka, udali. My jednakowoż opuścimy ich delektujących się specyałami wiejskimi, a podążymy za panem Cortrigneau, który w towarzys[illegible] Rauviaura, dążył do prosto do dworu. Z daleka ukazały mu się białe ściany ojcowskiego domu; wszyscy służy z radością i nietajonem zadowoleniem patrzyli na młodego jedynaka. Pan Filip szybko wbiegł do głównych pokoi, gdzie pan baron Cortrigneau i komandor orderu św. Ludwika zawzięcie grał w karty z swym przyjacielem pułkownikiem Florideau. Znali się oni od wojny amerykańskiej. Florideau w bitwie pod Saratogą uprowadził na bezpieczne miejsce, ciężko rannego barona, czem sobie na zawsze zjednał jego przyjaźń. Długie lata i smutne okoliczności nie rozerwały wcale tego zła przyjaźni; owszem, gdy pan Florideau stracił cały majątek, byłby zupełnie zrujnowanym, gdyby nie przyjazna ręka i pomoc przyjaciela.–

Wchwili, gdy Filip przybył do domu, grali obaj w karty, jak już powiedzieliśmy, co im jednak nie przeszkadzało żywej toczyć rozmowy.

— Powiadam ci Arturze, mówił pułkownik, że pięknych doczekaliśmy się czasów! Panowie adwokaci chcą koniecznie, abyśmy się zwali obywatelami. Może mają niejaką słuszność, ale może być abyśmy szlachta, która właściwie tworzy państwo, mieli być zarówno uważani z naszymi poddanymi i dorobkiewiczami."

— Masz słuszność, mój przyjacielu, to pewna, że panowie adwokaci i inne gryzipiórka robią w Paryżu co im się podoba, ale to też pewna, że ani my myśliśmy stosować się do ich głupich przepisów, jakie w szaleństwie wydają. Nie dość, że zamordowali króla, że wypędzili Książąt, nie dość, że nasi deputaci najmniejszego nie mają pierwszeństwa w rządzie, jeszcze nas chcą zrównać z sobą. Nie wstydziłoby mię równo być uważanym i nazywanym z poczciwym wieśniakiem, lub rzemieślnikiem, gdyż oni głównie pomagają naszej wspólnej sprawie o dobro ojczyzny, ale być równo traktowanym z tymi adwokatami, syndykami, członkami lewicy i Kordilierów, których głównie tworzą złodzieje i skończone łotry!....

—„Nie zapalaj się tak papo, rzekł wchodząc Filip — co dopiero uwięziono pana Larang za takie same wykrzykiwania!"—

— Tak mówię, jak myślę, a jak mówię tak i postępuję, — z godnością odpowiedział baron. Ojcowie nasi powierzyli [redacted]am nieskalany honor szlachectwa i tak[redacted]o zostawimy, albo umrzemy. Wprawdzie [redacted]najduje się wielu takich, którzy niepo[redacted]mni na osobistą godność i odziedziczony [redacted]honor szlachectwa łączą się z podłymi de[redacted]magogami, ale my nie zważajmy na ich [redacted]bezczelne postępowanie, tylko wykonuj[redacted]my to godnie, co nam sprawa narodo[redacted]wa i osobisty honor nakazują. Jedynie [redacted]tak postępując osiągniemy przywiązanie narodu i chlubnie wykonamy nasze obowiązki."

— Rzeczywiście, odparł pułkownik, masz zawsze słuszność mój przyjacielu. Wprawdzie nie mam nic przeciw rzeczypospolitej, ale nie takiej, jaka teraz u nas jest. Pamiętam, gdyśmy byli w Ameryce z panem La Fayette, także i tam utworzyła się rzeczpospolita, ale wcale odmienna od naszej. Na czele jej stanęli mężowie z rozumem i z miłością ojczyzny, toteż jeszcze teraz panuje tam powszechna zgoda. Naczelnicy mają nie własne, ale powszechne dobro na celu i pracują gorliwie dla wspólnej sprawy."—

Tak prowadzili przez znaczny czas rozmowę, którą baron skierował ku swemu synowi:

„I cóż Filipie, zapytał, czy wypełniłeś me polecenie i czy nie znalazłeś jakich trudności w odebraniu pieniędzy?"

—„Żadnych; odebrałem 40.000 liwrów, które mam w pugilaresie."

— W pugilaresie? zapytał baron, jakżeś mógł tyle pieniędzy złotem tam pomieścić. Chyba, dodał, musisz mieć jakiś olbrzymi pugilares!—

— Bynajmniej papo, odparł Filip, pugilares mój niewielki, ale można w nim

zmieścić 40.000 liwrów, zwłaszcza mając [illegible]
gnaty narodowe." g
– Cóż to ma znaczyć? mój synu, przecie m
pieniądze złożone miałem złotem w [illegible]
ku złotem, i to sobie wyraźnie zastrzeg
– Ale zgromadzenie narodowe, odpał [illegible]
lip, roskazało płacić narodowemi as
gnatami; tak nie mając słuszności [illegible]
siałem przyjąć w papierach. Ale ni[illegible]
się papo nie boi, gdyż asygnaty wyż[illegible]
teraz stoją tak, że można jeszcze na
nich zyskać"–
– Zysku nie pragnę, rzekł baron, nie je-
stem handlarzem ani przemysłowcem,
tylko żądam zwrotu tego, com dał.
Zresztą, cóż mam robić. Ha! znośmy
wszystko cierpliwie i czekajmy lepszych
okoliczności! Do widzenia, dodał syno-
wi na pożegnanie, który mówiąc, iż
jest bardzo drogą znużony, i chce się
udać na spoczynek, wyszedł z pokoju.
Odchodząc, zarządał aby rano Champe-
auxa mu przysłano, gdyż miał z nim
pomówić.
Wkrótce cały dom pogrążył się w spokoju
i ciszy. Wszyscy spali snem smacznem,
tylko w oknie pana Filipa długo
miało się świecić. Tak przynajmniej
stróż za pewną rzecz głosił.–

Śpiewak.

(tłumaczenie z Goethego).

„Co to za śpiew u bram podwoju?
„Na moście słyszę zamkowym?
„Niech śpiewak wejdzie i w tym pokoju,
„Śpiewem ozwie się nowym."
Wraz z króla słowy, paź z sali zginął,
Paź znowu wrócił, Król ręką skinął,
„Do sali wpuścić starego!"

„Witaj szanownych panów ono grono,
„Witajcie piękne wy panie,
„W sali blask taki, jak gdy niebios łono,
„Złotych gwiazd światła dostanie.
„Gwiazda przy gwieździe, jak w wiosennej nocy!
„A nazwać wszystkie wszystkież mocy?
„Zgaśnijcie oczy, nie czas patrzeć na to.

—

Śpiewak oczu zacisnął powieki,
I rozlał pieśni dźwięk miły,
A słuchacz rycerz wspomniał dawne wie-
ki,
A damy oczy w ziemię utkwiły.
Król, który z wielkim słuchał zachwytem,
Chcąc pierwej nowym obdarzyć zaszczytem,
Łańcuch mu złoty dać każe.

—

„Mnie nie obdarzaj łańcuchem dro-
gim,
„Lecz złóż go raczej na szyi rycerza,
„Co wrogów broń okiem łamie srogiem;
„Złóż go na [illegible] swego [illegible],
„I oprócz innych jeszcze ciężarów,
„Zegnij go nowym z takich złotych darów;
„Mnie nie nagrodzisz mych pieśni.

—

„Ja śpiewam jak ptaszek mały,
„Co w listkach mieszka majowych,
„Głos mego serca, gdy wyśpiewam cały,
„Nagród nie szukam już nowych.
„Lecz gdy uraczyć pragniesz gościa twe-
go,
„Pozwól mi puhar wina najlepszego,
„Z czystego wychylić złota.

—

Do ust przykłada, wino wypija:
„Napoju pełen posiłku słodkiego!
„O wiechaj dom ten szczęście nie mija,
„Gdzie śpiewu słuchano mojego!
„A gdy was szczęście nawiedzi rycerze,
„Wspomnijcie o mnie, i Bogu tak szcze-
rze,
„Jak ja wam teraz – dziękujcie.

St. K.



Zajęcie Częstochowy przez Kazimierza Pułaskiego r. 1772.– (patrz str. 10).

9.

Francuzom, którzy bez ceremonii każdą po-
leć zabierali z dymnika?

P. Krebs. Ach Francuzi! pomiędzy nimi by-
li także bardzo przyzwoici ludzie. Przyszedł
tu raz trębacz, ach gdy wspomnę sobie na
tego trębacza; miły, wesoły człowiek..

Major. Dobrze już dobrze, nie chcę nic wię-
cej słyszeć o trębaczu, który spodziewam
się nigdy już w moich dobrach trąbić nie
będzie. Pani zostałaś przywołaną, bo ją
pani plebanowa potrzebuje. Ja zaś sam
dla tego tylko wstałem, aby dać poznać
że życzę sobie, aby pani zrobiła, co ona
zażąda. (odchodzi).

Scena dziesiąta.

Pani Krebs - Amalia.

P. Krebs. Ei serdeńko, czego to żądasz? Czy
masz pani delikatną bieliznę do prania?
Tak, miły Boże, gdyby tylko był czas,
Albo chcesz pani wodę różaną zrobić,
cały ogród pełen róż, Kucharczyk niech
pomoże uzbierać.-

Amalia. Nie, kochana pani Krebs, to
o kolcach, jakie chcę na mej drodze rozsypać.

P. Krebs. O kolcach? Boże broń.

Amalia Mam znowu pójść za mąż.

P. Krebs. Ei wszelkie nieszczęście! ja miałam
trzech mężów, poczciwych, po chrześcijań-
sku ich opłakałam, ale gdyby się dziś jeszcze
czwarty trafił, nie wiem cobym uczy-
niła. Stan małżeński serdeńko, jest słod-
kim, szczególnie dla kobiet. Czemżebyś-
my miały rządzić, gdyby mężów na świe-
cie nie było? a cóżby się stało z mężami,
gdyby nimi nie rządzono? Pani jesteś je-
szcze młodą i możesz daleko na świecie do-
prowadzić.

Amalia. Pan major chce, abym nowego ple-
bana poślubiła.

P. Krebs. No, więc gratuluję. Któż to jest ten
nowy pleban? skąd? jak wygląda?

Amalia. Właściwie go jeszcze nie widziałam;
chciałabym jednak przedtem examin z nim
zrobić, a ponieważ wiem, że pani jesteś oso-
bą rozstropną, dlatego zaraz o niej pomyślałam..

P. Krebs. O mnie? Prawda i to, ja już w moim
życiu doświadczyłam ludzi i umiem każdy
garnek za ucho złapać. Ale jakże to ser-
deńko? jak?

Amalia. On przyjdzie, będzie żądał mówić
z panią pastorową, a pani zajmiesz mo-
je miejsce.

P. Krebs. Hi, hi, hi! przecież trochę star-
szą jestem niż pani.

Amalia. O tem on nic nie wie.

P. Krebs. A potem namyśl się pani dobrze,
mogłoby stąd jakie nieszczęście wypaść..

Amalia. Jakie nieszczęście?

P. Krebs. Ei, mój ty Boże, nie jest się to
jeszcze tak starą. A gdyby on znalazł we
mnie szczególne upodobanie?

Amalia (śmiejąc się) tobym go pani odstą-
piła.

P. Krebs. Pani się śmieje? Myśli pani, że
to jest całkiem niemożliwem? O ja za-
pewniam panią, francuski trębacz ta-
kże był chwacki człowiek, a gdybym była
tylko chciała, tobym teraz była panią
trębaczową.

Amalia. Więc któż to wie co pani jeszcze
jest przeznaczonem. Ja usuwam się z pola.

Scena jedenasta.

Bakałarz --- Poprzedni:

Bakałarz. Daruje łaskawie moja szano-
wna pani pastorowa, że nie okazuję się
w świątecznym stroju, w białych rękawicz-
kach z cytryną w ręku, bo teraz nie ba-
kałarzem jestem, lecz Merkuryuszem.-

Amalia. Ei, ei cóż to przynosi ten posłaniec bogów?

Bakałarz. Liścik od Jowisza, który w przyszłości z naszej kazalnicy piorunować będzie.

Amalia. Do mnie?

Bakałarz. Do szlachetnej, którą znowu wkrótce szanowną moją panią plebanową nazywać będę miał szczęście.—

Amalia. (otwiera list) Ei to nawet wiersze.

Bakałarz. Zostawiłem naszemu panu kandydatowi szklaneczkę marcowego piwa i zaraz mu przyszło natchnienie.

Amalia (czyta)

„Wszystkich i ciemnych dniach samotności
Ideał błądził w myśli zamroczonej,
Ale zdmuchniony tchem wszechmocności
Zostawił troskę duszy mej zranionej.
Lecz dziś „on żyje" woła ~~moje~~ serce,
„Wrócił ideał, mój ideał wrócił,
W sercu nadziei hymn mi zanócił.
Bo ideałem mym są wdzięki twoje

Bakałarz. Perfectissime!

P. Krebs. Nadzwyczaj tkliwe!

Amalia. (czyta)

Kościelne dzwony, stopnie kazalnicy
Organ piszczałki, w wrząd mię wołają,
Zwieszoną głowę z wierzchu mównicy
Kaptur ozdabia. Lecz czemuż się stają
Małoznaczące i próżne ozdoby te,
Gdy serce o tobie zawsze tylko marzy
Póki rękę i serce nie otrzymam twe,
Dłoń ma świętości dotknąć się nie waży.

Bakałarz. Wzniośle! bosko! Lohensteinus redivivus!

P. Krebs. S. p. pan pleban był wielkim człowiekiem, ale takich darów nie posiadał.

Amalia. (Wstrzymując się od śmiechu). Ja także tak jestem poruszoną, że mi oczy łzami zachodzą.

Bakałarz. A gdy go pani jeszcze zobaczy krótkiego, przystojnego, żebro wiotkie, usta słodkie..

Amalia. Ei panie bakałarzu, coś pan sam wyrabiasz się na poetę.

Bakałarz. Właśnie pracuję nad oratią dla pana pastora Eliasza Kruma.

Amalia. Niech więc pan idzie i powie panu pastorowi Eliaszowi Krumowi, że go czekam.

Bakałarz. Tak, powiem mu to i dalejże do pióra zakończać i pisać najozdobniejsze zaproszenia weselne na papierach śnieżnobiałych.—(odchodzi)

Amalia No kochana p. Krebs gotuj się teraz do roli swojej.—

P. Krebs. Jestem gotowa. Ale serdeńko to jeszcze raz powtarzam, ja za nie nie odpowiadam. Może się Bogu spodoba, aby moje nieznaczne powaby....

Amalia. To wtedy nie zważaj pani na nic i bierz go (odchodzi do swego pokoju).

Scena dwónasta.

Pani Krebs. (sama)

P. Krebs. Brać? tak, nawet z chęcią. Na trębacza nie ma już co więcej liczyć, a potem muszę także przyznać, że choć on na swojej trąbie grał z wielkim uznaniem, tak pięknych wierszy nie mógł przecie wygrać. Bóg widzi! wiersze wpłynęły na moje serce, jak ocet na ogórki; stało się znowu zupełnie zielone i świeże. Zatem jak się Bogu podoba! Jak się będzie złościła pani ekonomowa, gdy potem przy weselu, lub chrzcinach niżej odemnie stać będzie musiała. A z takiemi krowami jakie poprzedniej pastorowej przysłała, niech mi nie wyjeżdża. Moje kury tłuste być muszą wszystkie

a gęsi muszą przynajmniej cztery tygodnie na ścierce być tuczone. Słychać krotki;- Mój Boże kochany wyglądam, jak jaka kucharka. Lecz cóż to szkodzi: stary major powiada, że kobieta w negliżu najpiękniejsza.

(ciąg dalszy nastąpi).

Jan Kanty Gregorowicz (ciąg dalszy)

Spróbowawszy pióra na jednem polu, począł Gregorowicz jednocześnie prawie spożytkować wiedzę swoję w innym zakresie i zaczął pisywać artykuły gospodarskie do pism rolniczych, za które również nie źle bywał wynagradzany.-

W tym samym czasie był zmuszonym dla niepowodzeń miejsce w którem tyle doznał przykrości i przeniósł się do Warszawy. Wówczas ośmielony powodzeniem pierwszych swych prób literackich postanowił wyłącznie oddać się piśmiennictwu. Pracował dniem, nocami czytywał dzieła historyczne i naukowe. Chwil wytchnienia szukał najczęściej przez godzinę lub dwie wieczorem w ogródku restauracyi zwanej „pod Lipką.” Tam miał sposobność studyowania mieszczaństwa warszawskiego. Siedząc na uboczu zbierał wzorki, powoli zaznajamiał się ze stałemi gośćmi i coraz dokładniej poznawał dodatne i ujemne strony mieszczaństwa. Wkrótce kółko znajomych jego rozszerzyło się i zaczęło stanowić towarzystwo, którego duszę stanowił Gregorowicz. Wkrótce gospodarz zakładu musiał przeznaczony oddzielny pokoik przeznaczony dla kółka tego, zamienić na obszerniejszy, w którym gromadzili się wszyscy, pragnący się zbliżyć do coraz większej popularności nabywającego autora „Obrazów i zarysów wiejskich.” Popularność ta wzrosła potem tak, że go znała cała stolica.-

Ówczesny redaktor „Gazety Codziennej” ofiarował mu miejsce w redakcyi z małą zapłatą 1.000 Złp. rocznie. Chociaż to czasopismo często zmieniało redaktorów, Gregorowicz zawsze zostawał w redakcyi.- Później, gdy już miała upaść gazeta, sam zajął się wydawaniem tejże przybrawszy dwóch pomocników.- Później odstąpił redaktorstwa p. Kamińskiemu, sam zaś z F. H. Lewestamem zaczęli wydawać „Wolne Żarty”, jedyne naówczas humorystyczne pismo w Warszawie, które utorowało drogę do dziś dnia wychodzącemu „Tygodnikowi Illustrowanemu”. Ale cenzura warszawska stawała mu ustawicznie na przeszkodzie; proponował wydawać „Szpargały humorystyczne” i tego im jednak zabroniono.- R. 1859 nabył Gregorowicz od Glücksberga pismo „Magazyn Mód”, niegdyś świetne, w ostatnich jednak latach spadło na 100 prenumeratorów. Gregorowicz podniósł do 600 prenumeratorów, następnie zmienił tytuł na „Tygodnik Mód” i od razu miał 2.000 prenumeratorów. Odtąd, aż do dziś dnia „Tygodnik Mód” jest jego własnością i zostaje pod jego redakcyą. Jednocześnie prawie księgarz Glücksberg powierzył mu pisemko ludowe „Kmiotek”, a Gregorowicz pomimo nawału prac przyjął i ten obowiązek, wiedziony miłością ludu, dla którego zawsze pracował. Nieraz o 4tej godzinie wstawał i nie biorąc nawet posiłku pracował do pory obiadowej.-

(dokończenie nastąpi).

Zajęcie Częstochowy przez Kazimierza Puławskiego 1772. r. (str. 7) (kunmieszczone także w N. III)